

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	
w Wilnie	
Rocznie . . . . .	7.00
Półrocznie . . . . .	3.50
Kwartalnie . . . . .	1.75
Miesięcznie . . . . .	60
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie . . . . .	8.—
Półrocznie . . . . .	4.00
Kwartalnie . . . . .	2 00
Miesięcznie . . . . .	70

### REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od  
11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

### CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . .	50 k
W tekście (nadesłane) . . . . .	1 rb.
Po tekście . . . . .	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

## Maskarada.

Od roku wychodzi w Wilnie w godzinach popołudniowych dwugroszowa gazetka w języku rosyjskim p. t. „Wieczerniaja Gazeta“. Założona dla celów agitacji wyborczej zdołała w krótkim czasie wyrobić sobie poczytność i utwalić swój byt, dzięki umiejętnemu redagowaniu. Dziś już posiada pewien wpływ i jest czytowaną zarówno przez Rosjan, jak Żydów, a nawet Polaków. Z tego więc powodu oraz ze względu na tendencje polityczne, które wyraźnie zaznacza — zasługuje na baczną uwagę.

Od początku swego istnienia „Wieczerniaja Gazeta“ znalazła zaciętego przeciwnika w „Wilenskim Wiestniku“. W każdym niemal numerze półrocznego wileńskiego można znaleźć jakąś wycieczkę lub artykuł wstępny, wymierzony przeciwko organowi „białoruskich separatystów“, za jakich uchodzą w jego oczach kierownicy „Wieczerniej Gazety“. Dziennik ten bowiem istotnie występuje ostro przeciwko centralistyczno-rusyfikacyjnemu zakusom biurokracji miejscowej i mieni się obrońcą ideałów demokratycznych i interesów ludu białoruskiego. Z jeszcze większą jednak bodaj zaciekleścią „Wiecz. Gazeta“ prowadzi kampanję przeciwko pracy kulturalnej polskiej, jako również, jej zdaniem, wynaradawiającej masy białoruskiej. Wolno więc na tej podstawie wnioskować, że za jedynie zgodną z zasadami demokratycznymi na terenie Litwy i Białejrusi „Wiecz. Gazeta“ uważa działalność, skierowaną ku oświecaniu narodowemu ludu białoruskiego lub litewskiego. Wszelka inna musi mieć charakter wyraźnie nacjonalistyczny.

Stanowisku takiemu, mimo cały jego doktrynaryzm, nie można by odmówić szacunku, gdyby było ono szczere lub przynajmniej konsekwentne. Tak jednak nie jest.

Sam fakt wydawania taniej gazety popularnej w języku rosyjskim świadczy już wymownie, że dbałość o wzrost kultury białoruskiej (kwestja litewska na łamach tego pisma poruszana jest nader rzadko)

nie wykracza poza ramy frazesu, pięknie brzmiącego, lecz jakże dalekiego od rzeczywistości! Jeszcze bardziej utrwala w tem przekonaniu treść gazetki, przeważnie uwzględniająca życie społeczeństwa rdzennie rosyjskiego i z wyjątkiem kroniki miejscowej, nie różniąca się niczem od treści przeciętnego postępowego dziennika, wychodzącego gdzieś nad Wołgą lub Oką.

Rzecz znana, że prasa stanowi obok szkoły najpotężniejszy czynnik w szerzeniu wpływów kulturalnych. Czytelnik, posiadający słabe uświadomienie polityczno-społeczne, nasiąka temi poglądami i sympatjami, jakie wchłania ze szpalt dziennika. Cała jego psychika, miękka i wrażliwa, urabia się i krzepnie w tej atmosferze duchowej, którą wytwarza słowo drukowane. Czytelnicy „Wieczerniej Gazety“, rekrutujący się w wielkiej ilości ze sfery t. zw. pół-inteligencji, otrzymując doskonale przyrządzony i lekko strawny pokarm, zasmakowują w nim, a pod stałym jego działaniem organizm i h się przystosowuje i ulega przeobrażeniu.

Teoretyczne wywody o kulturze białoruskiej, o odrębności ludu białoruskiego i tego kraju pozostają czczą deklamacją, natomiast kultura wielkorusyjska oczywiście w formie najbardziej ponętnej, bo owianej duchem wolnościowym, sączy się z każdego wiersza i wpływ swój na masy wywiera o wiele skuteczniej, niż to uczynić potrafią dziesiątki pism reakcyjnych, o tendencjach wyraźnie rusyfikatorskich.

Trudno pojąć wrogą postawę „Wil. Wiestnika“, względem „Wiecz. Gazety“. Wszakże to na jego młyn woda. Stara gwardja Murawjewowska nie może się widocznie pogodzić z nowym umundurowaniem i nowoczesną taktyką. Zaskorupiała w szablonie, z nieufnością i niechęcią spogląda na wszelkie odchylenia od dawnych, wypróbowanych metod i wzorów i drży na sam dźwięk wyrazu „separatyzm białoruski“, chociaż jest przeświadczona, że widmo to jest w gruncie rzeczy teatralnym manekinem, zręcznie wysuwany na scenę, by sztuka wywierała wrażenie tajemniczości.

Ruch białoruski, koncentrujący się dokoła paru wydawnictw ludowych i skupiający szczupłą garstkę idejowców, nie może budzić zbyt poważnych obaw



w nacjonalistach rosyjskich. Jest to muzyka dalekiej przyszłości. Dziś nie tylko nie przedstawia niebezpieczeństwa dla interesów rosyjskich, lecz przeciwnie raczej jest im na rękę, stanowiąc wyłom w dotychczasowym murze tradycji i wpływów kulturalnych polskich.

Praca kulturalna, prowadzona w imię odrodzenia a właściwie stworzenia narodowości białoruskiej, dotychczas nie może pochlubić się znacześniejszymi wynikami. Rozwojowi jej stoi na zawadzie przede wszystkim brak rozpędu żywiołowego, jaki cechował np. młody ruch litewski. Pozatem rywalizacja i oddziaływanie dwóch sąsiednich pobratymczych kultur: polskiej i rosyjskiej utrudniają ogromnie proces kształtowania się wyraźnych form narodowych białoruskich. Traducja przesądza przyszość ruchu białoruskiego. Obecnie jednak można stwierdzić, że skutkiem swej słabości szuka on oparcia w liberalnej Rosji i stamtąd czerpie dla siebie wskazania i podniecie.

Jesteśmy białoruskami, nie białoruskami—historyczne to wyznanie wiary, uczynione w przystępie szczerości przez „Wiecz. Gazetę“ wymownie charakteryzuje tendencje „separatystów białoruskich“. Raczej Rosja niż Polska, oto czego pragną w głębi duszy kierownicy ruchu białoruskiego, gdy ogarnia ich zwątpienie w powodzenie swej akcji, operującej fikcjami. Moglibyśmy przytoczyć szereg ustępów z „Wiecz. Gazety“, z których wieje niedwuznaczna niechęć jeśli nie otwarta nienawiść do wszelkich przejawów na naszym gruncie pracy kulturalnej polskiej, chociażby miały one charakter wyraźnie demokratyczny, a jednocześnie to samo pismo gorąco reklamuje i bodaj nawet jest inicjatorem instytucji oświatowej rosyjskiej p. f. „Wiestnik Znanja“, nie mówiąc już o popieraniu teatru rosyjskiego, odczytów i t. p.

W ten sposób broni „Wiecz. Gazeta“ odrębności naszego kraju...

Ktoś kiedyś zauważył, że woli w Wilnie pomnik Murawjewa niż Muromcewa. Ten pozorny paradoks zawiera głęboką prawdę. Pierwszy bowiem jest symbolem zwycięstwa siły fizycznej, drugi, gdyby stanął, świadczyłby o podboju kulturalnym, o głębokich przemianach w społeczeństwie. To samo da się po-

wiedzieć o miejscowych organach prasy rosyjskiej. Wolimy urzędowy Wil. Wiestnik“ z jego brutalną propagandą antypolską, niż demokratyczną „Wiecz. Gazetę“, w sposób pokojowy, w imię ideałów wolnościowych torującą drogę rusyfikacji ludności miejscowej. Jedno jest narzucone z góry, drugie jest wytworem społecznym, pierwsze jest cynicznie otwarte, drugie podstępne i bałamutne.

Czyż można wątpić, które z nich przynosi większą szkodę, czyni większe spustoszenie?

Do niedawna mieliśmy prócz wydawnictw napół lub całkiem urzędowych w języku rosyjskim jedynie prasę, obsługującą interesy żydowski. Otraskaliśmy się z szumnymi hasłami postępowcami, przenoszonymi żywcem z nad Newy na nasz grunt, z wyraźnym centralizmem państwowym, z niwelacyjnymi dążnościami liberalizmu rosyjskiego. Poznaliśmy doskonale wartość ideologii demokratycznej w interpretacji zruszczonych żydów. „Wiecz. Gazeta“ wniosła nowy pierwiastek: krajowości. Występując w obronie potrzeb tego kraju i jego ludności, zyskuje prawo obywatelstwa i tytuł reprezentantki ich interesów. I w tem właśnie tkwi największe bałamutstwo.

Ludność miejscowa rdzenna nie potrzebuje rzeczowników, posługujących się językiem uprzywilejowanym. Polacy mają własną prasę polską, litwini—litewską, białorusinom wystarczy jeszcze na długo „Nasza Niwa“ i Białorus“. „Wiecz. Gazeta“, uobywatelniając niejako napływowy element rosyjski, wprowadza nowy czynnik do układu narodowościowego na Litwie i Białorusi i powoduje jeszcze większą gmatwaninę w stosunkach i pojęciach.

Termin „demokratyzm“ stanowczo zbyt często jest w ostatnich czasach nadużywany. Etykietą demokratyczną chętnie się posługuje każdy, kto chce trafić do szerszych mas. Nie każdy jednak, kto się za demokratę podaje,—jest nim w istocie. Nie jest nim ani endek, broniący uparcie hegiemonii szlachty i kleru, ani działacz z obozu „Wiecz. Gazety“, nie uznający ludu polskiego, a szerzący w imię fikcyjnych postulatów białoruskich kulturę rosyjską. I jedni i drudzy są samozwańcami. Ale gdy endecja do swego demokratyzmu nie przywiązuje większej

TADEUSZ DĄBROWSKI.

2

## Józef Korzeniowski

(W pięćdziesiątą rocznicę zgonu).

Nie można znaleźć u Korzeniowskiego takiej apoteozy artysty, jaka praktykowana była powszechnie w ówczesnym piśmiennictwie naszym, a i obcem na równi.

Nie był też bynajmniej skory do przyznawania na sposób „entuzjastów“ bezwzględnych praw sercu. Dobroć znamionowała jego twory. Gdy entuzjaści kierowali się w postępowaniu swoim własnym „ja“ lub „ideałów“ swych, które w twórczości swej przedstawiali, wymogami uczucia, gdy trzymali się wskazań etyki „nieszczęścia“, jak ją nazwał w „Dziadach“ Mickiewicz, gdy niezdolni byli do opanowania siebie, powściągnięcia instynktownych swych pożądań, dobroć Korzeniowskiego kazała się liczyć z ludzkim szczęściem. Czy mam prawo wiązać dla mego szczęścia z sobą życie osoby, która szczęśliwą być może tylko z kim innym?—to pytanie górowało stale nad su-

mieniem jego bohaterów. W takiej „Autorce“, w takim „Spekulancie“ przełamane, przewyciężone zostają pierwsze zapędy serca. Albowiem serce ślepe jest i nieświadome prawdy. Ponad egoistyczne zadowolenia szczytniejszą wedle Korzeniowskiego jest ofiara, gdy ona do cudzego szczęścia przyczynić się może. Dobre serce, litościwa dusza doprowadzała tu Korzeniowskiego niekiedy nawet zadaleko, gdy n. p. w „Starym mężu“ każe aż imiennika m'odego, którego imię przypadkowo bohater zasłyszał, z daleka do domu sprowadzać i z poświęceniem szczęścia własnego starać się o rozwód, oraz skojarzenie młodej pary. To już nie tylko było wyzywanie szyderstw entuzjastów, takiego Józefa Bohdana Dziekońskiego, czy Narcyzy Żmichowskiej, albo wychowanego nieco w ich szkole Klaczki Juljana, to było już karygodne wyzywanie losu, które do szyderstw przeciętnych śmiertelników również snadnie nadawać się może.

Jednakże, gdy bohater Korzeniowskiego, taki „Garbaty“ n. p. staje przed zagadnieniem osobistego szczęścia, nie ciska się obłudnie w przepaść namiętności, nie daje się pochłoniąć, złamać życiowo. Góruje nad namiętnością rozważa. „Garbaty“ n. p. widząc, iż uczucia ukochaną przez niego istotę z kim



wagi, „Wiecz. Gazieta“ uważa siebie za jedyną niemal reprezentantką ideałów demokratycznych i wyzyskuje to stanowisko dla celów obcych duszy ludu miejscowego.

Czas już wielki, by zerwać z niej tę maskę i ukazać właściwe jej oblicze.

L. A.

## Rzadka sposobność.

Każde państwo, najbezwzględniej nawet wójujące z poddanymi swymi, ma—zwłaszcza w dobie kapitalizmu—jeden z nimi punkt styyczny. To handel zewnętrzny. Bez względu na stosunki społeczeństwa do państwa i państwa do społeczeństwa, interes ich w tym momencie jest identyczny. Wchodzi tu bowiem w grę strona trzecia, jednaki wywierająca wpływ na dobrobyt ludności, jak i—zależne od niego—finanse państwa.

To też w krajach konstytucyjnych terminy, w których zawiera się nowe traktaty handlowe, wciągają do spółpracownictwa z rządem mnogie instytucje społeczne; badają one szczegółowo istniejące warunki stosunków wymiennych, a zasięgając informacji u źródła—t. j. u samej ludności: producentów i konsumentów—koordynują dezyderaty poszczególnych grup społeczeństwa.

Jest to praca trudna, wymagająca sił, czasu i licznych środków pomocniczych, wśród których najcenniejszą jest dobrze i oddawna prowadzona statystyka. Nic więc dziwnego, że w układach traktatowych przegrywa zawsze strona, mniej świadoma wymagań życia—czyli państwo, mniej zespolone z narodem.

Ponieważ brak takiego zespolenia stanowi nieuniknioną konsekwencję autokratyzmu, więc też Rosja była dotąd stale stroną w zawieranych traktatach wyzyskiwaną. Nawet w chwilach, gdy z tego lub innego względu przeprowadzała ona

swoją wolę na szkodę importu zagranicznego, bywało to przeważnie bez korzyści dla niej samej, a nieraz z widocznym dla jej ludności uszczerbkiem. Nakładała np. wysokie cła na towary, u niej nieprodukowane, które skutkiem tego zupełnie przestawały być sprowadzane; finanse państwa traciły dochód, ludność zaś wyzbywała się pewnej potrzeby, cofając tem swą kulturę. Tak było choćby z niektórymi rodzajami machin rolniczych i wielu innymi przedmiotami.

Do układów dla Rosji najniekorzystniejszych należy bez wątpienia obecny traktat z Niemcami. Zawarty w czasie zawieruchy wojennej na Dalekim Wschodzie, posiada on grzechy, których nawet słabo zorientowany, rząd autokratyczny mógł być i powinien był uniknąć. Niemcy do ostateczności wyzyskały wówczas kłopoty sąsiadki i przeprowadziły niemal wszystkie swoje postulaty, których część wprost rujnuje przemysł rosyjski. Jak wielkie rządy popełnił tu błędy, dość wskazać, że zawarty traktat, między innymi, przyczynił się do tego, iż dziś mąkę z rosyjskiego zboża sprowadza się z Niemiec do Rosji. Wysokie cło na mąkę przy stosunkowo niskim opodatkowaniu surowego ziarna, wydało ten skutek, że nad całą granicą rosyjską powstały w Niemczech młyny, które eksportują na wschód pod postacią mąki dopiero co otrzymane stamtąd zboże.

Fakt taki pociąga za sobą długi szereg fatalnych następstw: upada przemysł młynarski, tracą zarobek w kraju rzesze robotnicze, spożywca niepotrzebnie płaci za przewóz zboża tam i zpowrotem, a wreszcie szkodę ponosi państwo, które darmo wyzbywa się pewnej kategorii podatków przemysłowych.

Podobnie, jak ze zbożem, dzieje się z drzewem, skórą etc. Garbarstwo np. przeżywa u nas kryzys po kryzysie i należycie się nie rozwija, a tymczasem skóry wywozi się do Niemiec po to, by je wnet sprowadzać napowrót pod zmienioną postacią.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że błędów takich popełniono setki, łatwo wyobrazimy sobie, jak

innym wiązą, jakkolwiek może są tajone, że mogłyby się spotkać może ze współczuciem, z litością, lecz byłby to gwałt zadany ludzkiej naturze, albowiem człowiek z duszy się składa i ciała i obie połowy człowieka zarówno w miłosnym stosunku odgrywają rolę—„Garbaty“ wtedy sam przyczynia się do skojarzenia miłującej się szczęśliwie pary i w wyrzeczeniu ma zadowolenie patrzenia na cudze szczęście, do którego się przyczynił, jakoteż w oddawaniu się umiłowemu sztukom pięknym, oraz sprawom ducha.

Oto jest normalny stosunek Korzeniowskiego do hasel praw uczucia. Epoka jego burzliwa była, nalaadowana elektrycznością. Namiętności wrzały. Występowano w imię jakiegoś czynnika, upośledzonego dotąd w życiu. Postępowcy nasi, tworzący literaturę w kraju, za panią George Sand, brali w obronę nieszczęśliwą w małżeństwie kobietę. Mąż przyziemny, filisterski safandula, wiecznie tylko o wygodzie i swych drobnych przyjemnościach myślowych myślący, lub oddany gonitwie za interesami, i żona czuła, sentymentalna, wrażliwa, rozpoetyzowana, przebywająca duszą w krainach ponadziemskich, stęskniona do duszy bratniej, któraby ją rozumieć, odczuć potrafiła i znajdującą tę bratnią duszę w jakimś młodym, pięknym,

nerwowym młodzieńcu, poecie o kruczyczych włosach, ledwie syjącym się wąsiku i ognistym oku; bolejąca serdecznie nad tem, że nie może się z nim złączyć nierozzerwalnymi węzły i że wiecznie krępować ją będą więzy małżeństwa; melancholjka, bladeść, tęsknota niewygasta i nieprzelane łzy: to była moda ostatnia, najszczytniejszy ideał, figurujący na kartach poczytnych ówczesnych powieści. I takie miłośnice, wykształcone, wrażliwe, czułe, wyhodowane na gruzach całej kultury umysłowej i artystycznej ludzkości, którą w siebie wchłaniały i żerujące na twórczych duszach, pobudzające cierpieniem, rozterką duchową loty gienjuszów, występowały także w życiu. Wystarczy przypomnieć Musseta, Chopina, Krasińskiego, by mieć wyobrażenie o zaraźliwej tej epidemji.

Korzeniowski nie sympatyzował z tym typem kobiety i nie miał ochoty stawać pod sztandarem „wolnej miłości“. Gdy pisał swoje dramaty czy komedje, niejednokrotnie typ ten, podpatrzony w życiu, do utworów swych wprowadzał. Przedstawiał kobiety zimne, wyrachowane, grające na nerwach i uczuciach mężczyzn, uwodzące ich z całym chłodem przytomnym, ażeby po trupach ich przejść do nowych zdobyczy. Przedstawiał konflikty dramatyczne, które śladem



olbrzymie szkody ponoszą stąd finanse państwa przy równoczesnych stratach ludności, której spora część emigrować musi zagranicę w pogoni za pracą.

Olbrzymie, rażące wady istniejącego traktatu, jako też (mimo obecnej reakcji nie dające się zaprzeczyć) poderwanie wiary we wszechwładę i nieomyślność biurokracji — skłania dziś rząd do wkroczenia na nową drogę. Wobec tego, że w r. 1915 zawarty być musi nowy układ z Niemcami, ministerja: finansów, rolnictwa, wreszcie przemysłu i handlu, okazują gotowość zerwania z dotychczasową szkodliwą tradycją i powołania do współpracy społeczeństwa.

Zwrot to niezmiernie znamienny—chwila doniosłości olbrzymiej, jakkolwiek nie towarzyszącej tryumfalnie okrzyki pionierów postępu i obrońców dziejowej konieczności.

Na nic więc nie zdadzą się epileptyczne podrygi reakcji, na nic zamachy wstecznicstwa, usiłującego wykreślić z historii Rosji rok 1905 i jego zdobycze. Zjawia się życiowy mus, co obrońców dawnego ładu do Kanossy wiedzie. Stróże potęgi państwa zwracają się do opinii publicznej: „Mów narodzie, czego ci trzeba, bo, gdy milczysz, ślepi jesteśmy“.

Jak Rosja stara—po raz pierwszy zapowiada się zjazd działaczy wszelkiego rodzaju, mające zgromadzić materiał, na którym rząd oprze swe targi z zachodnim sąsiadem. Jakkolwiek celem bezpośrednim narad będzie dobro przemysłu i handlu, a w szczególności sprawy, związane z eksportem, dziedzina ta jednak posiada tyle punktów styecznych z ogólnymi warunkami życia, że liczne kwestje—napozór dalekie—ulec tu muszą nowemu oświetleniu, jako pośrednie przyczyny pewnych szkodliwych zjawisk.

Oto np. nie ulega wątpliwości, że eksport rosyjski i handel wogóle ponosi nie byle jakie straty wskutek istniejącego systemu pasportowego. Niemieccy handlarze zbożowi nauczyli się już ciągnąć specjalne zyski z uwięzienia producenta rosyjskiego. Niemniejszą przewagę gwarantuje im też

fakt, że do samej granicy rosyjskiej podchodzi mnóstwo niemieckich linii kolejowych, które nagle urywają się w szczerem polu, bo po drugiej stronie granicy brak nietylko drogi żelaznej, ale często nawet szosy. Kupcy zagraniczni, mający łatwy, tani i szybki dojazd do granicy, a poza to nie znający trudnień pasportowych, uwijają się żwawo po obu sąsiednich terenach własnymi furmankami przewożąc zboże w odpowiedniej chwili i do najwygodniejszych dla siebie punktów.

Dalej ogromną szansą handlu niemieckiego jest zarówno własna jego świetna organizacja, jako też organizacje, obejmujące wszystkie inne dziedziny pracy. Przyczyniają się one do oświetlenia istniejących warunków życia w najdrobniejszych jego szczegółach, tudzież do orjentowania się w wielu sprawach, mających bliższy lub dalszy wpływ na stosunki handlowo-przemysłowe. Gdy zważymy, jakim utrudnieniom i ograniczeniom podlega ruch stowarzyszeniowy w Rosji, łatwo zrozumimy (naturalnie, przy pojmowaniu jego olbrzymiej roli w Niemczech), jaką jest to prerogatywą dla handlu niemieckiego.

Jego również atut stanowi — obok wolności stowarzyszeń — swoboda słowa, a przede wszystkim prasy i zgromadzeń publicznych. Dzięki nim, każda kwestja, ogół obchodząca, rozpatrywana jest z najrozmaitszych punktów widzenia, przyczem ujawniane bywają fakty, niezmiernie często dla handlu i przemysłu doniosłości. Dość przypomnieć tu sobie np. owe niezliczone wiece, które wywołała w Niemczech drożyzna mięsa. Nietylko oświetliły one wszechstronnie przyczyny tej klęski, ale też pociągnęły za sobą przeróżne środki zaradcze, a wśród nich i rozwój pewnych nowych gałęzi przemysłu, tudzież przeniesienie części rzeźzonej drożyzny na konsumenta rosyjskiego, absolutnie w danym wypadku bezbronnego. Wobec bowiem warunków istniejącego traktatu, Niemcy mogą dowolnie zabierać Rosji tyle mięsa, ile w danym momencie im potrzeba, a kiedy indziej eksport całkowicie wstrzymywać. Wskutek tego, ceny mięsa na wewnętrznym rynku rosyjskim w

owych krwiożerczych kobiet-wampirów się snuły. Pokazywał często młodych artystów-entuzjastów, rzucających się bez pamiętnie na fale uczucia, aby utonąć w nich, wykoleić się w życiu, zmarnować los swój i wrodzone dary natury. Doprowadzał do zrozumienia, opamiętania i ironji bolesnej w stosunku męzczyzny do takiej lodowatej kokietki, w takiej np. „Dziewczynie i damie“, w której bohater decyduje się salonową lwicę poślubić, jednakże nie może mieć dla niej szacunku. Nawracał nawet lwicę na przyzwoitą drogę małżeńskie skromności, gdy w „Młodej wdowie“ otaczał ją rojem plotek i intryg, które je omotywały i godziły na cześć jej i wynajdywał rozważnego, stanowczego i energicznego męzczyznę, który potrafił całą sieć tę śmiało rozciąć, ccaścić honor hrabiny i w nagrodę zyskać wdzięczność jej, przywiązanie serdeczne i rękę. Co prawda, nigdy nie umiał się zdobyć na tyle złośliwego dowcipu, na tyle zgryźliwości ciętej, na jaką zdobył się Słowacki, przedstawiając sawantkę rozpoetyzowaną w „Fantazym“.

Miał więc Korzeniowski zrozumienie dla powiślań, które na tle namiętności mogły wyrastać. W „Tadeuszu Bezimiennym“ całe życie samotnie, w zamknięciu, na straży tajemnicy swojej każe pędzić ko-

biecie, która się zapomniała kiedyś, a nie ma odwagi, by do tego przed mężem się przyznać, by utracić blask majątku jego i wygod życia. Umiał współczuć z tego rodzaju dramata. Lecz czyni wrażenie zarazem, iż maluje je jako przykład odstrasający, jako jeden z ciemnych zaułków bez wyjścia, do których wiodą obyczaje społeczne i wywołanie z przesądów dawnej staropolskiej cnoty. Staroświecki był nieco w tych poglądach w stosunku do ówczesnych młodych postępów. Nic dziwnego, że spotykał się z ich strony z objawami niechęci i szyderstw.

I z jednego jeszcze względu Korzeniowski liczyć nie mógł na sympatię swoich współczesnych: ze względu na przedmiot, który najczęściej w utworach jego się powtarzał. W komedjach jego, w powieściach występuje wyłącznie prawie świat szlachecki, ziemiański lub „inteligientny“. Był to świat, z którym jedynie stykał się i który znał poeta. Co prawda niejednokrotnie używał w malowaniu go rysów bardzo ostrych, wyrazistych, karykaturalnych. Gdy przedstawił „Żydów“ polskich, arystokratów, wyszukujących biedny tłum szlachecki, postępujących z nim bez serca, gorzej od zawodowych żydowskich lichwiarzy, którzy w miarę przypominania sobie wyrządzonych nie-



zupełności zależą od spóżywców i handlarzy niemieckich.

Dowolne puszczenie lub nie puszczenie bydła i mięsa z Rosji do Niemiec odbywa się, jak wiadomo, pod pozorami kontroli sanitarnej, którą urzędy niemieckie prowadzą same, nie biorąc pod uwagę świadectw weterynarzy rosyjskich. Stosunek ten możliwy jest tylko przy obecnym braku zaufania zarówno do sumiennosci, jak i kwalifikacji agientów rządu rosyjskiego.

Tak więc znów—kwestja, zdawałoby się, bardzo specjalna, dotycząca jednej zaledwie gałęzi handlu wywozowego, rzuca światło na ogromną dziedzinę spraw ogólnych. Poszanowania bowiem dokumentów rosyjskich zagranicą żądać można tylko wówczas, gdy powaga ich nie będzie mogła ulegać żadnym wątpliwościom. Nastąpi zaś to wówczas dopiero, gdy urzędnik przestanie być komentatorem prawa, a stanie się ścisłym jego wykonawcą.

Już z powyższych kilku przykładów widać, jak rozległe i różnorodne dezjeryaty wysunąć musi społeczeństwo, gdy zechce istotnie wpływać na poprawę położenia handlu rosyjskiego w stosunku do jego zachodniego konkurenta.

Okoliczność jest tem cenniejsza, że—jak się rzekło—bezapelacyjna konieczność zmusza fundamentalne czynniki państwowe do wysłuchania owych—nie przez żadne programy polityczne, ale przez życie samo—dyktowanych postulatów. Inaczej państwo dalej brnąć będzie na oślep ku coraz większej ekonomicznej zależności od potężnego i stale potężniejszego sąsiada. Inaczej spadać będzie wcale z tego nie zdając sobie sprawy, do rzędu eksploatowanych terenów, na których przemysłowcy zachodnio-europejscy wykreślają sobie „sfery wpływów“.

Ale jakkolwiek rząd zdradza tym razem wyjątkową gotowość posłuchania głosu opinii publicznej; jakkolwiek—rzec by można—w Petersburgu modą się już stało popieranie konferencji i zjazdów traktatowych: wady dotychczasowego systemu na robocie tej zgóry już wyciskają swe piętno. Brak ściśle solidarnego gabinetu i prowadzenie

własnej polityki przez każde poszczególne ministerjum, miast skupiać, rozszczepia akcję społeczeństwa, sprowadzając widmo tak zwykłego tu „beżołowia“.

Pracę przygotowawczą rozpoczęły—każde na własną rękę—wszystkie trzy zainteresowane ministerja: skarbu, rolnictwa, oraz przemysłu i handlu. W związku z tem powstało kilka niezależnych od siebie organizacji. Przy ministerjum skarbu pracuje komisja, w której skład weszło wielu uczonych ekonomistów. Ogłasza ona cenne przyczynki w wydawnictwach rzeczzonego ministerjum. Dalej ministerjum rolnictwa popiera zjazdy prowincjonalne (dzielnicowe), organizowane przez ziemstwa i tow. rolnicze. Robota prowadzi się tu dość chaotycznie. W jednych miejscowościach narady te odbywają się, w innych nie; brak im pozatem koncentracji i jednolitego programu. Z protekcji ministerjum przemysłu i handlu korzystają stałe zjazdy wielkich przemysłowców, które jednak nie wychylają się poza Petersburg i pozostają obce prowincji. Pozatem na uwadze mają one w pierwszym rzędzie potrzeby przemysłu fabrycznego, prawie nie interesując się sprawami rolnictwa. Koordynacji zadań owych zjazdów przemysłowych z celami wspomnianych wyżej zjazdów prowincjonalnych, popieranych przez ministerjum rolnictwa, podjęła się czwarta dopiero instytucja, mianowicie istniejąca od dwu lat Rosyjska Izba Eksportowa.

Jest to organizacja poważna, a zasługuje na tem większą z naszej strony uwagę, że właśnie wszczęła już działalność i na tutejszym terenie. Projektuje ona na początek r. 1914 zjazd dzielnicowy w Wilnie, gdzie wzięć mają udział „przedstawiciele instytucji, organizacji, firm i osób prywatnych, zainteresowanych w kwestji eksportu krajowego Litwy i Białejrusi“. Na zjeździe tym ma być odczytany „szereg referatów w sprawach importu, eksportu i wogóle kwestjach, związek mających z rozwojem handlu wywozowego w kraju naszym i uregulowaniem stosunków handlowych z Niemcami“.

Dla przygotowania owego zjazdu i referatów

gdyś dobrodziejstw, wruszają się, a w miarę stopniowania się siły wruszenia opuszczają po jednym czy pół procentu—pozyskał poklask młodych literatów. Ten stosunek do arystokracji modny był bardzo w literaturze ówczesnej. Kraszewski w „Komedjantach“ i innych, nie mało sobie na kontrastach wyrazistych używał. Zaliczono tedy Korzeniowskiego odrazu do zwolenników demokracji.

Lecz Korzeniowski nie występował wyraźnie w imię emancypacji ludu w swoich utworach. Gdy w „Karpackich góralach“ uwydatnia, że lud tak samo czuje, jak ludzie wykształceni, że taksamo wrażliwa ma ambicję, dumę, że równie urażony w swej dumie umie się mścić, jak niegdyś rycerze w szekspirowskich dramatach—porusza się ciągle jeszcze w dziedzinie ogólnie humanitarnej, nie tykając aktualnych społecznych zagadnień. W „Karpackich góralach“ i w „Cyganach“ sprowadził Korzeniowski „pierwiastki“ ludowe, świeże tworzywo, materiał etnograficzny, nie często spotykany dotąd, a bardzo popularny w owe czasy.

Pod wpływem agitacji Brodzińskiego cały szereg pisarzy młodych wstępuje do ludu, do jego obyczajów i poezji, do wierzeń i zabobonów, zstępuje do

zabytków poezji słowiańskiej, serbskiej, staroruskiej, czy czeskiej (uchodzącej jeszcze za autentyczną), która utrzymywała się w ustach ludu. Brodziński Kazimierz, Józef Bohdan Zaleski, August Bielowski, Lucjan Siemieński, a dalej Zmorski, Wolski, Lenartowicz, Wasilewski i mnóstwo innych tłómaczy, przerabia lub osnuwa swą twórczość na motywach ludowych. W muzyce u Moniuszki czy Chopina również tędy wiedzie droga do twórczości rodzimej. Zrozumiał więc jest, że Józef Ignacy Kraszewski, autor „Ułany“, „Ostapa Bondarczuka“, „Jaryny“, „Budnika“, wytknąć musiał Korzeniowskiemu, iż zasklepia się w swej działalności pisarskiej w jednej tylko warstwie, gdy gdzieindziej znaleźć można również nieprzebrane bogactwo obserwacji, spostrzeżeń ciekawych, oraz przedmiotów dla zajęcia wyobraźni i wruszenia. Gdy jednak u Kraszewskiego, przybywającego na wsi, „powieści ludowe“ zupełnie były naturalne, Korzeniowski tylko czasem podczas wakacyjnych wczasów, gdzieś w Kosowie, czy Burkucie, z ludem bezpośrednio, mógł się stykać. Nie było to świadome, umyślne uprzedzenie, lecz raczej brak „organiczny“, wynikający z warunków życia. Potem zaś przyszły czasy „reakcji“, uwielbianie starszylachetczyzny, władztwo Henryka



powstało w Wilnie Biuro Organizacyjne pod przewodnictwem p. Pawła Kończy.

Jak wnosić można z rozesłanych komunikatów, Biuro energicznie wzięło się do pracy i zdążyło dokoła niej zgromadzić poważne grono reprezentantów przemysłu, handlu, rolnictwa, jako też osób, żywiej interesujących się sprawami publicznymi.

Na odbytych konferencjach wstępnych nakreślono już ogólny program pierwszego zjazdu (projektowany jest bowiem jeszcze jeden zjazd w Wilnie), a nadto wyszczególniono tematy, które mają być opracowane w formie referatów. Są to wszystko kwestje żywotne, dotyczące najrealniejszych potrzeb kraju.

Oto ich szereg:

*W sprawie wywozu —*

1) Zboże w ziarnie, kasza, mąka etc. 2) Nasiona, makuchy, słoma, siano, otręby. (Ciekawą jest rzeczą, iż przy obecnym traktacie cena otrębów jest zaledwie o 10—15 proc. niższa od ceny zboża). 3) Spirytus, krochmal, kartofle surowe i suszone. 4) Drożdże prasowane. 5) Masło. 6) Ser i kazeina. 7) Mięso, bydło etc. 8) Konie. 9) Skóra, sierść, szczecina. 10) Drób, jaja. 11) Warzywa, owoce (surowe i przerobione), chmiel, miód. 12) Drzewo. 13) Wyroby przemysłu włóściańskiego.

*W sprawie dowozu —*

14) Produkty kopalniane i wyroby metalowe. 15) Wytwory chemiczne. 16) Wyroby przemysłu włóknistego etc.

*W kwestjach ogólnych—*

17) Sprawa elewatorów. 18) Chłodnie, a także poprawa dozoru weterynaryjnego. Podjazdówki w Wilnie i Kownie. 19) Regulacja rzek. Kanał Windawski. Port w Jurborgu. 20) System pasportowy. Brak komór celnych. (Potrzeba komory celnej w Wilnie). 21) Potrzebne instytucje i stowarzyszenia: a) informujące o stanie rynku międzynarodowego; b) popierające przemysł, handel i komunikację; c) ułatwiające kredyt; d) podnoszące samopomoc społeczną; e) walki z nadmiarem pośredników i wyzyskiem syndykatów; f) rola ziemstw

i tow. rolniczych; g) zbyteczne koszty eksportu; h) asekuracja. 22) Postulaty miejscowego przemysłu i handlu w stosunku do rozpatrywanego traktatu. 23) Kwestja ustalenia zjazdów i ciągłości współpracy z Ros. Izba Eksportowa.

Ostatni ten punkt jest ogromnie ważny. Słusznie prezes Biura podkreślił w jednym ze swych przemówień, iż podejmowana obecnie akcja nigdy zakończona być nie może. Społeczeństwo, raz przystąpiwszy do badania warunków swego dobrobytu, wyrzec się już nie potrafi dalszego śledzenia zmian, które w warunkach tych następować będą. Zaspakajanie tej ciekawości stać się musi i stać się powinno konieczną potrzebą ogółu.

I tu właśnie tkwi główna sprężyna dokonywanego obecnie zwrotu. Powszechne zrozumienie ścisłego związku, jaki zachodzi między dobrobytem ludności, stanem finansowym państwa i tegoż państwa polityką tak wewnętrzną, jak i zagraniczną — zjawiskiem przemijającym być nie może. Rozbudzone w tym kierunku zainteresowanie wzrastać będzie coraz bardziej, a świadomość faktycznego stanu rzeczy wzmocni powagę opinii publicznej, tak lekceważonej dotąd przez sfery rządowe.

Lekceważenie to ma źródło nie tylko w uporze i interesie biurokracji. Warunkuje je w niemniejszym stopniu ślepotą czynników społecznych i doktrynerstwo ich, spowodowane nieznaną rzeczywistych stosunków, nieorientowaniem się w trudnościach i potrzebie godzenia społecznych interesów, a wreszcie w tem, jak trudną sztuką jest wypośrodkowywanie istotnych postulatów życia.

Rozprawy nad projektowanym traktatem ogółowi na wiele z tych kwestji otworzą niewątpliwie oczy. Oto np. bardzo charakterystyczna zjawia się różnica zdań, dzieląca rolników (zwłaszcza wielkich właścicieli ziemskich) od przemysłowców. Pierwsi zadowoleni są z tego, że istniejący traktat forytuje eksport surowca. Ułatwia to rolnikowi szybki zbyt ziarna i drzewa w ich stanie pierwotnym. Lecz ułatwienie to, „wzmacniające stan szlachecki“, jest — jak się już rzekło wyżej — poważną stratą dla innych elementów społecznych, jako też

Rzewuskiego, Ignacego Chodźki, Zygmunta Kaczkowskiego, Wincentego Pola, Władysława Syrokomli. Nic dziwnego tedy, że „ludowe“ utwory u Korzeniowskiego były czemś przygodnym tylko, epizodycznym i że normalną sferą jego zainteresowań ciągle jeszcze być musiała — szlachetczyzna.

W dość jaskrawem tedy przeciwieństwie pozostawał Korzeniowski od rówieśnej mu spółki. Stosunek jego do „cyganerji warszawskiej“ mniej namiętny co prawda, mniej zapędliwy w napaści, zbliżony był do stosunku Adolfa Nowaczyńskiego z komedji pod tym tytułem. Jak Nowaczyński — był wyznawcą, więc: pomocnikiem w pracy Wielopolskiego, bolał nad wypadkami, które mu w dokonaniu dzieła przeszkodziły i schorzały, zdruzgotany, zmarł na obczyźnie, w Dreźnie 17 września 1863 r.

Był obok Antoniego Sowy wyraźnym przed powstaniem głosicielem pracy organicznej. Gdy w „Fabrykancie“ jeszcze naigrawał się z manji uprzemysławiania kraju, zakładania fabryk przez ludzi nie mających najmniejszego wykształcenia fachowego i tracących daremnie pieniądze, później w „Nowych wędrówkach oryginała“, czy w „Krewnych“ z całym szcunkiem, ba nawet z zapalem propagandystycznym

wyraża się o fabrykach różnego rodzaju sukien, kurtów, płócien, o działalności Steinkellera, Ewansa, Frageta i innych. W bohaterze Janie Firleju wystawia jakby nowoczesnego „Pana Podstolego“, który dla przysłużenia się społeczeństwu oddał się przemysłowi, pozakładał w dobrach swych i dokupionych z czasem mnóstwo przedsiębiorstw, zajmujących znaczną liczbę rękodzielników, zaprowadził szkoły i ochronki dla dzieci małomieszkańskich i chłopskich, ustanowił w gminach szpitale, felczerów, porządkował drogi i mostki, wznosił przyzwoite gospody, starał się urządzeniem domu swego służyć za wzór sąsiadom. Jak niegdyś Krasiński w dobie dokonywania się przemian gruntownych, zasadniczych, wołał zstąpić do zajęć codziennych, powszednich Pana Podstolego i odbudować życie polskie od postaw, tak teraz Korzeniowski miał wprowadzić zrozumienie dla owych natur, miotanych namiętnościami, nerwowymi, gwałtownymi, zajętych zasadniczymi zagadnieniami świata, czy ludzkiego bytu, lecz on, realista, wołał ograniczać się do swojej sfery ciaśniejszej i żywymi przykładami pouczać.

W działalność moralizatorską swoją wprzęgał chłód doświadczeń lat całych, przemawiała zeń mądrość nabyta i tem także zrażać sobie musiał antiintelektu-



dla państwa. Dotąd rząd stawał po jednej lub drugiej stronie, zależnie od „wiatru“, wiejącego u góry, a często wprost od widziszę tego lub innego ministra. Skoro jednak czynniki społeczne same w kwestję tę (jak też w inne, jej podobne) wejrza, wypadnie postulaty sprzeczne tak koordynować, by krzywda i zysk tej i drugiej strony nie były zbyt rażące i aby uwzględnianie interesów tych czy innych żywiołów nie stawało na przeszkodzie postępowi kultury.

Z trudnościami takimi, dotąd załatwianymi poza społeczeństwem, będzie ono teraz miało sposobność zapoznać się. A to już samo uczyni je dojrzałszem.

Tak więc zarówno ze względów pedagogicznych, jak i doraźnie praktycznych, należy zachęcać ogół nasz do wzięcia jaknajczynniejszego udziału w rozpoczętej pracy. Każdy z wód powinien tu mieć swe przedstawicielstwo, każda warstwa ludności—rzecznika i obrońcę swych interesów. Udział w zjeździe jest nader przystępny: wpisowe wynosi trzy ruble. Biuro przytem podejmuje się opracowywania referatów własnymi siłami—tak, że wszelkie rzeczowe uwagi w każdej formie przyjmować może.

Jest to sposobność rzadka, z której gromadnie skorzystać trzeba, by dać poznać rządowi, a również samym sobie uświadomić rzeczywiste bolączki stosunków naszych oraz rzeczywiste przyczyny nędzy i zacofania.

Józef Sorokowicz.

## O inteligencji polskiej.

(dokończenie).

Praca wytwórcza, ten główny motor postępu ludzkości jest obca układowi psychicznemu inteligencji; nie czuje ona w swych żyłach tego życiotwórczego tętna. Póki ożywia ją młodość, pory-

alistów, wyrosłych na romantyzmie. Jako typ pisarza dbałego o publiczne dobro i dobrotliwego humanisty przypomina innego realistę w powieści, a pozytywistę w tendencjach życiowych—Bolesława Prusa. I ten również z wyrozumiałością człowieka dobrego serca przedstawiał młode i niedoświadczone „emancypantki“. I ten również powodował się doświadczoną mądrością. Jenó że zmieniły się czasy i inne już Prus obrazować musiał stosunki.



wają ją słowa, hasła, idee, lecz, gdy nastaje wiek dojrzałości męskiej, równowagi, trzeźwości — jest znów oportunistyczna, tchórzliwa, zachowawcza. Umysł, zdobytą wiedzę—zużywa na wytworzenie buforów ochronnych przeciwko kataklizmom społecznym, a uczucie—skierowuje do ciasnych ram rodziny, klasy. Że jednak rzeczywistość polska i instynkt samozachowawczy narodu każą inteligencji — w myśl tradycji — stać na strażnicy, więc ucieka się do patosu słów gromkich, choć pustych, i do spraw drobnych, które obleka w szaty wielkości, poświęcenia.

Życie—bez kwestji — nie składa się z aktów bohaterstwa. Jest szare, żmudne, ciężkie. Wymaga czynów, drobnych, niewidocznych. Ale życie wymaga planu, celowości. Życie każe patrzeć jasno w przyszłość, nie chować głowy pod skrzydła komunałów, każe zdawać sobie sprawę z zadań społeczeństwa, grożących mu niebezpieczeństw, przeciwności i z linii, kierunku jego rozwoju. Życie nie czeka, aż uporamy się ze sprawami, które w naszej parafji, w naszym kramiku uważamy za najpilniejsze. Wymaga ono czujności wszechstronnej, zbiorowej i działalności na wszelkich polach, wymaga wiary głębokiej w cel ostateczny i woli niezłomnej w przełamywaniu przeszkód.

I oto inteligencja nasza nie jest zdolna do takiej pracy. Nie ma ani dostatecznych sił, ani energii, ani wiary. Czuje to i depce bezradnie na miejscu. Przeżuwa maksymy pozytywizmu, romantyzmu, egoizmu narodowego, materializmu — napróżno. W bezsile własnej obrzuca się wzajemnie zarzutami.

Jedni winią pokutujący romantyzm, drudzy — bezpłodny pozytywizm, trzeci dokrynerski materializm. Lecz nic z tego. Ze sporów tych żaden prąd ożywczy nie powstaje. Poza ożywioną dość, bo bezpośrednich potrzeb ciała tycząca się — działalnością ekonomiczną, martwota idejowa panuje, może, większa, niż przed rokiem 1905-ym, Przynajmniej — na powierzchni.

Przyczyny zjawiska tego należy się doszukiwać w załamaniu się psychiki inteligencji polskiej. Po latach 1905 i 1906 inteligencja, która uważała się dotąd za sól narodu, za warstwę nie tylko przodującą, lecz i kierującą, przekonała się, że tak nie jest. Przekonała się, że w społeczeństwie powstały siły nowe, które domagają się praw do życia, mają swoją linię rozwoju, które posiadają siłę żywiołową, a faktycznie są jej obce. Poczują się odosobnioną w społeczeństwie.

I dwie leżały przed nią drogi. Jedna — iść na spotkanie tych budzących się sił ludowych, połączyć się z nimi, służyć im wiedzą; druga — oprzeć się o bliskie krwią, tradycją, potrzebami życia i posiadające siłę materialną i wpływy — klasy posiadające. Inteligencji polskiej — naogół — nie starczyło woli, by wybrać szczerze i otwarcie jedną z tych dróg.

Rozum i wiedza mówiły, że w ludzie przyszłość i siła, nawyknięcia sybaryckie, układ psychologiczny, związki krwi, zależność materialna — ciągnęły w stronę możnych, a bezradne uczucie, które miało jakoby objąć cały naród, zawisnęło — nad próżnią.

Niektórzy intelektualisci skłonni są przypuszczać, że na dezorientację naszej inteligencji wpływa niski stopień wykształcenia społecznego.



To pewne, że brak wiedzy—przy rozwiązaniu zagadnień społecznych jest przyczyną wielu błędów, szamotań się. Ale nie on tylko wpływa na bezradność inteligencji. Mamy dowody, że ludzie, posiadający wysoki stopień wiedzy i wykształcenia społecznego, są jednak wstecznikami społecznymi, że, przeszedłszy za młodu ospe idej wywrotowych, w wieku dojrzałym stają w szeregach reakcji. Nie można tego kłaść tylko na karb zdobytej wiedzy. Ma tu raczej miejsce płytkość gleby społecznej. Płonki idei demokratycznych na glebie psychologii szlacheckiej, przerośniętej gęsto interesami klasy posiadającej, nie mogą zapuścić głęboko korzeni. I powiew życia, potrzeb, interesów, ciasno i egoistycznie, leez trzeźwo i realnie pojętych—wywraca je i niszczy.

Mglisty socjalizm, lub buńczuczny indywidualizm, o ile nie krystalizują się w suche doktrynerstwo, lub monomanję, rozwiewają się, jak miraż, jak sen, pozostaje zwykły egoizm, ubrany w szaty rozsądku, lub wytwarza się cynizm, czyli tak rozpowszechnione u nas małpie kpiarstwo. Beztroski i lekkomyślny „Sclavus saltans“ sam układa na siebie i na naród kuplety i sam je wyśpiewuje. Zda się, pragnie zadziwić świat tem, że w takt dźwięku łańcuchów potrafi tańczyć skocznie i wesoło. I trudno się dziwić, że tak jest w społeczeństwie, o którym życie publiczne, miast się rozwijać, jest tłumione, spoistość—miażdżona, w którym masy wytwórcze i włóściańskie i robotnicze—w życiu szerszym udziału nie biorą, w którym inteligencja odgrywa rolę kokoszy, nawołującej pływające samopas po wodzie kaczęta, w którym pierwiastki rodzinne i rodowe są jeszcze silniejsze od narodowych.

Juljan Ochorowicz w swej pracy „Pierwiastki charakteru narodowego“ pisze, że właściwością słowian centralnych była wytworzona przez warunki bytowania silna łączność rodzinna i rodowa, a słaba—narodowa.

Dziś, po wiekach istnienia, po tysiącletnim blisko okresie państwowości własnej, po stuletniej z górą wegietacji—widzimy znów poczucie zbiorowości osłabione. Społeczeństwo, zagrożone w swym istnieniu, zamknęło się w rodzinie. Uderza to zwłaszcza w sferach inteligienckich. Tworzenie rodziny—to przełom społeczny i polityczny w duszy inteligenta. Zjawiskiem aż nazbyt częstym u nas jest, że człowiek, mający, zda się, wyrobiony światopogląd, przekonania społeczne i polityczne, staje się—po utworzeniu rodziny—stopniowo coraz większym oportunistą, egoistą i filistrem. I nie wpływają na tę zmianę tylko obowiązki i kłopoty, związane z utrzymaniem rodziny. Nie. Ma tu miejsce jakieś dziwne przekonanie, że z chwilą założenia ogniska domowego—obowiązki społeczne przelane zostają niejako na rodzinę, jako komórkę.

Żeromski w swych „Ludziach Bezdomnych“ przeprowadza myśl, że człowiek idei nie powinien tworzyć rodziny. Tego rodzaju przeciwstawianie społeczeństwa rodzinie, całości—jej części jest stanowczo nienormalne, fałszywe.

Nie całopalenie ofiar indywidualnych na ołtarzu społecznych, lecz uspołecznienie rodziny winno być naszym celem.

Bez kwestji, odosobnienie rodziny wytworzyły u nas warunki zewnętrzne.

Starano się stargać wszelkie więzy społeczne,

zatomować życie publiczne. Odruchem przeto zupełnie naturalnym społeczeństwo zamykało się w rodzinie, jak w twierdzy, by przetrwać nawałnicę, zachować odrębność. Pod tym względem rodzina oddała mu wielkie usługi. Czy jednak nie nadużyto tej tarczy? Czy nie uczyniono z niej schroniska dla teńców, egoistów, oportunistów? Zda się, że tak. To też czas byłby twierdzą tę przewietrzyć, tem bardziej, że i samo życie poczyniło w niej liczne rysy i skazy.

Rozłam między młodem i starszym pokoleniami—to rezultat zamknięcia się szczelnego rodziny inteligienckiej i odgradzenia od życia. Młodzież, która z niej wyszła, którą owiał podmuch szerszego życia, nie mogła i nie może pogodzić się ze stęchlizną domu rodzinnego, choćby ten przechowywał najdroższe pamiątki, więc stąpa luzem, więc błąka się, więc błądzi.

Rozłam ten idejowy — to przecież rysa najmniejsza. Na tle zmagania się idejowego, na tle przeciwieństw przekonaniowych—może wytworzyć się jakiś typ nowy spółzycia, może lepszy, wyższy. Gorzej, że chaos rodzinny przetwarza się w zepsucie, w zgniliznę, że atmosfera ta zamienia się w bagienko, że paczą się charaktery, ta główna podwalina społeczeństw.

Pod płaszczykiem pruderji fałszywej i obłudnej rozwinął się i wybujał erotyzm płciowy.

Stosunek mężczyzny do kobiety—to kwestja wieczna, do której ludzkość wciąż powraca. Różne tylko bywają te powroty i nawroty.

Spółczesny zwrot do tej kwestji w naszej belletrystyce i w sferach inteligienckich—to zwrot znudzonych i pustych rozpustników, głodnych wciąż nowych wrażeń i lekkomyślnych samców i samic, nie więcej. Głębszego i szerszego ujęcia sprawy, ogólnoludzkiego, a nie płciowego tylko stanowiska, choćby takiego, na jakim stać pragnął Przybyszewski—dopatrzyć się trudno.

Oprócz tych symptomów rozkładu, rozwinął się na tle odosobnienia rodziny jej zamknięcia—egoizm społeczny, przybierający często krzyczące szaty taniego indywidualizmu.

Renan dał oryginalne, lecz trafne określenie narodowości, twierdząc, że stanowi ją wielka solidarność, oparta na świadomości ofiar świętych, poniesionych w przeszłości, i gotowości do nowych ofiar w przyszłości. Ma się rozumieć, myślał on o narodzie wolnym, który ofiar świętych w terażniejszości nie ponosi.

Jakżeż wygląda ta wielka solidarność u nas, zwłaszcza u tej części społeczeństwa, która, jak inteligencja, uważa się za kwiat i sól narodu? Otóż istnieje wśród inteligencji naogół tylko solidarność oparta na świadomości ofiar świętych, poniesionych w przeszłości, a więc—ofiar cudzych.

Na tem pojęciu solidarności budowana jest cała ideologia t. zw. inteligencji.

Stąd płynie—z jednej strony—żądanie solidarności od społeczeństwa, jako przystosowania się całości do interesów klas posiadających, najbliższych związanych z przeszłością; stąd wysiłek kulturowania wszystkiego, co związane z przeszłością, a—z drugiej strony—zapoznanie lub spychanie na plan drugi zadań twórczych, związanych bezpośrednio z wymaganiami i potrzebami doby obecnej, doby pracy i ludzi pracy twórczej. Praca dla kultury, istnienie narodu — bez udziału



mas tego narodu, mas najliczniejszych. świadomych i obywatelskich—jest niemożliwa.

Wszystkie zagadnienia dnia dzisiejszego mogą i muszą być rozwiązane przy współpracy żywej i czynnej robotnika i włościanina polskiego.

Inteligencja polska czuje to, rozumie nawet, spójni tej pragnie, lecz się jej... boi. Boi wprost fizjologicznie. Dla tych ludzi z krwi, tradycji, nawyknień—obcych całkowicie pracy fizycznej, wytwórczej,—jest ona czemś groźnym, złowrogim, czemś, co tchnie wprawdzie siłą pociągającą, lecz mrozi determinizmem, niezłomną, twardą konsekwencją, która wymaga, by za słowem szedł czyn.

Słowo dla społecznej inteligencji stało się bożyszczem. Jest giętkie, jest lotne, jest posłuszne. Można z niem i za pomocą niego dokonywać najtrudniejszych piruetów i łamańców, zwalczać przeszkody, rozwiązywać zagadnienia. Można ze słów sterty tworzyć szanice i zasieki, twierdze i świątynie. Można ze słowa, wyrazu i spóznynika życia, uczynić potęgę samą w sobie.

L. Krzywicki w swej książce „W otchłani“ pisze, że „wszechwładza drukowanego słowa jest tylko fazą przejściową, w rozwoju myśli ludzkiej“. I dziś już możemy obserwować pierwiastki kryzysu tego panowania.

Potęga sztuczna słowa stanęła między inteligentem i ludem pracującym. Stała się ona narkotykiem, który jedynie jest w stanie podnieść inteligencję,—pierzyną, na której może wygodnie spocząć, i—mydłem, które wypiera wszelkie plamy wątpliwości i wyrzutów elastycznego „ja“.

Mogą gromy i pioruny walić w społeczeństwo, może ziemia z pod nóg jego się usuwać, a inteligent, jak Noe w arce,—w chmurce słów unosić się będzie nad—wodami, bo... on nie może obniżyć „lotu“, bo on... nie może zmniejszyć swych potrzeb „kulturalnych“.

Być może, że inaczej — być nie może. Ale w takim razie stwierdzić i uświadomić sobie trzeba, że t. zw. inteligencja dzisiejsza—to tylko pianina na powierzchni społeczeństwa, a nie jego rdzeń, treść najistotniejsza, że w zmaganiach się narodu, jego ciężkiej drodze do przyszłości,—udział tej inteligencji sprowadza się—co najwyżej—do roli trębaczów i doboszków.

Obowiązki kierowników i szermierzy nawy narodowej muszą przejść i przechodzą powoli w inne ręce.

Światli robotnicy i włościanie, nauczyciele ludowi oraz garść inteligencji zawodowej, mającej zrozumienie procesu dziejowego i wolę czynu,—oto zastępy, które są w stanie tchnąć w społeczeństwo niezniszczalny zasób wiary, energii i siły.

Wi—ski.

## Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji.

### II.

Za pierwszą próbę stworzenia w Galicji serji wykładów o poziomie uniwersyteckim, odpowiadających naszym pojęciom o „wolnej szkole“,

uważać należy wyższe kursa wakacyjne w Zakopanem, założone przez niezapomnianego Luśnię (K. Krauz). Zakopiańskie kursa wakacyjne trwały przez 2 lata: 1904 i 1905, a sława ich rozeszła się po wszystkich trzech dzielnicach Polski.

Wykładali na nich: Krauz, Krzywicki, Feldman, Stanisław Brzozowski, stojący wtedy u szczytu młodzieży i ubóstwiany przez młodzież, i wielu innych. Atmosfera, w jakiej żyło wtedy społeczeństwo w Królestwie, sprzyjała jaknajbardziej powodzeniu kursów wakacyjnych. Życie szło szybkim tempem i dawało do rozwiązania coraz to inne problemy. Przeszło już wystarczać ogólnikowe pojęcie „postępu“ i różniczkowało się ono z każdym rokiem i miesiącem coraz bardziej i pobudzało młode pokolenie do intensywnej pracy myślowej. Tę pracę ułatwiały kursa, znakomicie ułożone i prowadzone. One to dały grunt teoretyczny niejednemu późniejszemu działaczowi, który w Warszawie (jeśli pominiemy wykłady Mahrburga) i wogóle w zaborze rosyjskim nie miał możliwości zdobycia teoretycznego wykształcenia, poza smutnej pamięci nauką oficjalną, zwłaszcza zaś w dziedzinie nauk społeczno-politycznych. Uczyli się młodzi ludzie w Zakopanem wielu rzeczy, sobie dotąd nieznanych, a ucząc wyrabiali się, i to w pośpiesznym tempie, gdyż chwila odwoływała jednego po drugim od nauki do praktycznej działalności.

Wykłady zakopiańskie, choć na galicyjskim prowadzone terenie, nie mogą przecież być uważane za „remedium“ przeciw galicyjskiemu obkurantyzmowi i galicyjskim tendencjom politycznym, głoszonym „ex cathedra“ pod pozorem czystej nauki, już chociażby z tego względu, że obliczone były przeważnie nie na miejscowych słuchaczy, lecz na gości z poza kordonu, godnych atmosfery wolnej nauki, o której tam, w miejscach swego zamieszkania, marzyć nawet nie mogli. Ta właśnie młodzież przedewszystkiem na wykłady się stawiała.

Rok 1906 był drugim i ostatnim rokiem wykładów zakopiańskich. Zabrakło młodzieży: nie było dla kogo prowadzić kursów. W rewolucji, jak na wojnie: tysiące młodzieży stracone są na czas długi dla pokojowej pracy kulturalnej i społecznej. Przyszła wreszcie kolej na poddmuchy reakcji i „postępowe“ wykłady wyszły z mody.

Ale życie szło dalej swoim torem i rozdźwięk pomiędzy potrzebami duchowymi młodego pokolenia, a oficjalną galicyjską nauką, zmonopolizowaną przez stańczyków w Krakowie, a narodowych demokratów we Lwowie, wzrastał coraz bardziej. Do silniejszego uwydatnienia tego rozdźwięku przyczyniła się niewątpliwie obecność w uniwersytetach galicyjskich licznej falangi młodzieży z Królestwa i z Litwy, bądź to ocalałej z porewolucyjnego pogromu, bądź to świeższej formacji, lecz wychowanej w atmosferze przeżytych ważnych wypadków. Jednak i niezależnie od tego napływu gości z za kordonu poczucie, że wiedza uniwersytecka wszystkich potrzeb nie może zaspokoić, zaczęło coraz bardziej przenikać do świadomości młodzieży galicyjskiej, która przecież nie cała z kandydatów do c. k. posad się składa. Świadczą o tem etapy walki uniwersyteckiej: sprawa Warhmunda, sprawa Zimmermana. Podczas afery Warhmunda młodzież domagała się wolności nauczania dla profesorów, i wielu z pośród



tych ostatnich, doznając szykan ze strony stańczyków i kleru, po cichu wyrażało jej za to swą wdzięczność. Podczas zaś burzliwych zajęć, związanych z nominacją ks. Zimmermanna, który był politycznym agitatorom, lecz nie człowiekiem nauki, młodzież wyraźnie zaznaczała, o co jej chodzi. Protestowała mianowicie przeciw kreowaniu katedry nieistniejących nauk „chrześcijańsko-społecznych“, i podkreślała z naciskiem, że tworzenie podobnych katedr, z powierzaniem ich teologom, tembardziej na napiętnowanie zasłużyć musi, że w uniwersytecie brak zupełnie katedry socjologii. O tę katedrę dotąd młodzież z ujemnym skutkiem się domaga.

W miarę wzrastania fermentu wśród młodzieży na tle niezaspokojenia jej potrzeb naukowych musiały znów, po kilkoletniej przerwie, wskrzesić dążenia do stworzenia wolnej szkoły. I oto w roku 1911 powstają równocześnie „Szkoła nauk społeczno-politycznych“, oraz „Polska szkoła nauk politycznych“, czyli t. zw. szkoła Rostworowskiego.

Na nazwę wolnej szkoły we właściwym tego słowa znaczeniu zasługuje tylko pierwsza z tych szkół, gdyż druga, t. j. szkoła Rostworowskiego, nie ma bynajmniej na celu oficjalnej nauce wiedzę niezależną przeciwstawiać. Jej powstanie stało się niezbędnem tylko dzięki biurokratycznej rutynie uniwersytetów austriackich, przy której stworzenie nowej katedry wymaga niezliczonych i długo trwających zachodów, a często napotyka ze strony wiedeńskiego ministerjum oświaty na nieprzewyciężone trudności. Często w uniwersytecie Jagiellońskim potrzeba uciekać się do dziwacznych wybiegów, aby pogodzić istotne potrzeby polskiej wszechnicy z wymaganiami c. k. rządu, który, raz sankcjonowawszy pewne katedry, nie jest skłonny do zezwolenia na reformy. Aby zaspokoić żądania rządu co do wykładów historii Austrii, wykłady o rewolucji francuskiej publikowane są pod następującym tytułem: „Austria i Francja w latach 1762—1799“ i t. d. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach nawet sfery, przejęte duchem państwowości austriackiej, ale odczuwające potrzebę rozszerzenia ram wykładów, decydują się na otwarcie nowej szkoły, od władz centralnych niezależnej. Jednocześnie osiąga się i przytem i cel drugi, paraliżując zabiegi do założenia szkoły, prowadzonej w duchu szczerze postępowym.

Z tych to powodów powstała szkoła Rostworowskiego. Wykłada w niej wielu profesorów i docentów uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz niezliczona liczba młodych sił, wyłącznie stańczycy i narodowi demokraci. W szkole wykładane są różne przedmioty z dziedziny nauk społeczno-politycznych, na których wprowadzenie do uniwersytetu nie tak łatwo byłoby wyjednać zezwolenie władz centralnych, nietyle może ze względów zasadniczych, ile przez rutynę biurokratyczną.

Zupełnie odmienny charakter posiada „Szkoła nauk społeczno-politycznych“, założona w roku 1911 przez żywiły postępowe. Wszystkie kwestje z dziedziny nauk społecznych i politycznych znajdują w niej oświetlenie, zgodne z poglądem naukowym docenta, który nie jest zmuszony do liczenia się z żadnymi innymi względami, prócz naukowych, co w uniwersytetach rządowych osiągnąć się w żaden sposób nie daje. Program ułożony jest w ten sposób, aby dać możność słucha-

czom zapoznać się z całokształtem teorii i metod, panujących w naukach społecznych i politycznych. Zarazem szkoła stara się osiągnąć jeszcze inny cel, a mianowicie daje możność słuchaczom zaznajomienia się ze specjalnie mogącymi ich zainteresować kwestjami i zagadnieniami. Do takich zagadnień należą przedewszystkiem te, które dają możność słuchaczowi zapoznać się z Polską społeczną, jak również z życiem politycznym i gospodarczym dawnej Polski. Dość przejrzyć program Szkoły nauk społeczno-politycznych, a program uniwersytetów, aby dojść do przekonania, że program Szkoły jest najbogatszy i najbardziej odpowiadający wymaganiom życia.

Szkoła nauk społeczno-politycznych nie wydaje swym słuchaczom dyplomów, jak to czyni szkoła Rostworowskiego, nie pobiera subsydjów od żadnej instytucji, nie rozporządza pomocniczym aparatem naukowym, a jednak spełnia swoje zadanie, w miarę sił i środków, dobrze. Już pierwszy rok jej istnienia, który miał być rokiem próby, przekonał założycieli, że nie na darmo podjęli swą pracę.

Niestety, okoliczności zewnętrzne przeszkodziły normalnemu rozwojowi szkoły. Atmosfera roku szkolnego 1912—1913 nie sprzyjała wykładom. Oczekiwano wybuchu wojny. Kraków, twierdza pograniczna, był widownią przygotowań przedwojennych, które podtrzymywały nastrój nerwowy i utrudniały, jeśli nie uniemożliwiały zupełnie, atmosferę naukową.

Frekwencja w Szkole nauk społeczno-politycznych zaczęła upadać i rok ostatni istnienia Szkoły pod względem materialnym bynajmniej do świetnych zaliczyć się nie da. Spodziewać się należy, że obecnie, po oddaleniu się grozy wojennej, gdy szkoła Szkoła nauk społeczno-politycznych otworzy swe podwoje, znowu w niej zaroi się od słuchaczy, wyznających zasadę bezwzględnej swobody nauczania.

Że przewidywanie to nie jest oparte na złudzeniach, świadczy o tem przedsięwzięta w ciągu lata ubiegłego próba wznowienia kursów wakacyjnych w Zakopanem, cieszących się ongi zasłużoną sławą. Tym razem kursa otwarto pod egidą Ogniska nauczycielskiego, znanego ze swej ruchliwości. Eksperyment powiódł się: sale wykładowe były przepełnione, i powodzenie kursów wakacyjnych na przyszłe lata uważać można za zapewnione.

Gdyby miało być inaczej. smutne świadectwo musiałby o nas wydać bezstronny sędzia. Krytykować stosunki galicyjskie, w szczególności zaś szkolnictwo galicyjskie, średnie, niższe i wyższe, wszyscy umiemy. Weszło nawet w modę przemawianie pogardliwym tonem, gdy się rozprawia o tej „Golicji i Głodomorji“ z powieści Lama. Nie każdy jednak posiada dość dobrej woli i energii, aby starać się złemu zaradzić. Nie ograniczać się do roli prokuratora stosunków galicyjskich, lecz walczyć z brakami, przeciwstawiając rutynie oficjalnego szkolnictwa wolne szkoły i te szkoły wszelkimi siłami popierać—oto najlepszy sposób zaradzeniu złemu.

J. Krz.



## „Milicans tactics“.

Duży ruch polemiczny wywołała na Zachodzie książka pani Schirmacher pod tyt. „*Suffragettes*“, przełożona na język polski przez Melanję Bersonową. Praca ta, oparta na statystycznych danych i niezbitych dowodach z dziedziny obyczajów i prawodawstwa angielskiego, rzuca wymowne światło na zaciemnianą i gmatwaną z umysłu sprawę wyzwoleńczego ruchu w Anglii.

„Fakt, że kobiety, które dotąd w milczeniu znosiły krzywdy, i to kobiety kraju przodującego w kulturze, chwyciły się przemocy, żeby uzyskać należne prawa—czytamy w przedmowie—jest bezprzykładnym w historii świata. Stanowi to taki przełom w dawnej tradycji, że społeczeństwo zrozumieć go nie mogą, a ogół przeciętny oburza się... Porozumienie jest tu konieczne“.

— Któż to są właściwie te „dzikie kobiety“, te „brutalne histeryczki“, te „wyjące derwisze??...“ — czytamy dalej.

„*Sub i frago*“, znaczy dosłownie „*tamie*“—słowo *suffragette* czy *suffragistka* oznacza więc żywołłamiący. Wynalazca tego wyrażenia wiedziony instynktem, trafił w sedno rzeczy, aczkolwiek nazwa ta w pogardliwym lub humorystycznym znaczeniu jest przeważnie rozumiana:

— *Suffragettes* nie zdołają przecież niczego zburzyć—powiadano ogólnie, — inna rzecz gdyby miały za sobą siłę męskich organizacji zawodowych, pięści proletariatu pozbawionego pracy, moc uzbrojonego powstania, wtedy trzeba by się z nimi liczyć—ale tak? Są to tylko bezsilne kobiety... — W ten sposób powstała wzgardliwa nazwa „*suffragette*“.

— Ale pocóż wogóle używać siły?—argumentowano jeszcze. — Czy nie dałoby się uzyskać w W. Brytanji praw politycznych dla kobiet drogą pokojową?

— Nie, to niemożliwe — odpowiadają świadomi sprawy. — Od r. 1866 pracuje angielski ruch kobiecy za pomocą środków legalnych i to spowodowało zupełny zastój sprawy, stanęła na martwym punkcie. Od r. 1905 *przetłamano granice legalności*, nie widząc innej drogi wyjścia—i oto w jednej chwili *suffragettes* okryły się sławą wszechświatową, bo to była „sensacja“, zaś prasa jest „sensacji“ żądna!

A teraz kilka cyfr: Anglja liczy 18<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona kobiet, w tem 4<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona pracuje zawodowo poza domem, w większej części i po zamążpójściu. Słabsze, mniej odporne wpadają w szpony prostytucji lub giną z głodu... Angielskie prawo nie nakłada na mężczyznę obowiązku utrzymywania żony. *Kobieta nie ma prawa do spadku*. Rozporządzać może też tylko własnym zarobkiem poza domowym, w którym jednak upośledzoną jest i ograniczoną do ostatecznych granic.

Wykluczone ze wszystkich wyższych urzędów państwowych (prócz godności królowej), na średnich i niższych stanowiskach jest ich zaledwie 50.000. Mimo iż jakoś pracy jest równorzędna, płace kobiet o wiele są niższe. Państwowe *Board of Education* (ministerjum oświaty) płaci inspektorom szkolnym 800—1000 funtów sterlingów, inspektorkom 300—500. W urzędach pocztowych i telegraficznych, mężczyźni pobierają do 80-ciu szyl. tygodniowo, kobiety do 30-tu. Stali urzędni-

cy biurowi otrzymują 250 funtów rocznie, urzędnicy 100 funtów...

Jest przeszło sto tysięcy nauczycielek rządowych, które przy zupełnie równych kwalifikacjach, pobierają dwie trzecie płacy mężczyzn. Podobnie rząd wyzyskuje w straszny sposób robotnice pracujące w dziale konfekcji dla wojska i marynarki, podczas gdy mężczyznom płaci wedle taryfy przyjętej przez związki zawodowe.

Pijaństwo jest znacznie więcej rozpowszechnione między mężczyznami (141.000 na 33.000 kobiet rocznie), a każdy pijak jest źródłem niebezpieczeństwa dla kobiet i dzieci. Nieobyčajne zamachy na 10-cioletnie dziewczynki są karane kilkodniowym więzieniem. Drobną kradzież jest znacznie ostrzej karana. Jeśli mąż okaleczy niebezpiecznie żonę, władza nie karze go, lecz wzywa do spokoju. Za dzieciobójstwo pociąganą jest do odpowiedzialności *li tylko* matka, skazywana dawniej na śmierć, teraz na dożywotnie więzienie. Za zaczepianie na ulicy pociągane są do odpowiedzialności jedynie kobiety, nie zaś ludzie trudniący się tym wstrętnym procederem i wciągający dziewczęta w swe sieci. „*Protest*“ opatrzony podpisami tysiąca kobiet przeciw handlowi żywym towarem, przedłożony parlamentowi, drzemie od lat kilku w tece ministerjalnej i nieostał dotąd odczytany, dla braku czasu... Jeśli zaś *reglamentacja* została nareszcie w Anglii zniesiona, to jedynie dzięki bohaterkiej całowyciowej walce zasłużonej Józefiny Butler. \*)

Wszędzie, w każde zagadnienie życia wnika przedawnione, na wyzysku i niesprawiedliwości oparte prawo ustanowione przez mężczyzn. W małżeństwie, w kwestji wychowania, mieszkania, płacy, obyczajności i nieobyczajności — urodzenia, śmierci, życia, spadku—słowem *doli i niedoli*. Kobieta nie bierze nigdy udziału w stanowieniu o warunkach swego życia. Mężczyzna nie zna, czy znać nie chce jej krzywdy i udręki — *dlatego kobieta potrzebuje prawa wyborczego*. Bez prawa wyborczego są dziś wszystkie żądania kobiety bezowocne. Gdy kobieta otrzyma prawo wyborcze, wywalczy sprawiedliwe prawo małżeńskie, sprawiedliwe ustawy zawodowe i społeczne.

To jest myślą przewodnią ruchu *suffragetek*, walczących za miliony sióstr upośledzonych.

Anti-suffragiści czyli przeciwnicy prawa wyborczego kobiet, rekrutują się przeważnie z warstw bogatych, należą do nich i konserwatywne kobiety. Właściwe jednak *credo* przeciwników pochodzi od mężczyzn, hołdujących dawnemu ideałowi kobiety z połowy XIX-go stulecia: biernej, oddającej się, pędzącej *żywoć kwiatowy*. — „Kobiety posiadają uczucie i wdzięk, a to nie prowadzi do zdrowego sądu w polityce... właściwości fizyczne i fizjologiczne przeszkadzałyby im często w obowiązkach publicznych“ — powiadają, zapominają — iż mimo tych właściwości, większość kobiet musi się przez życie ciężko się przebijając, pracując od wczesnego dzieciństwa do późnej starości nie lżej od mężczyzn, a bez żadnych prerogatyw tymże przysługujących. Anti-suffragistki nie mają pojęcia o warunkach bytu swoich sióstr, losu kobiety pracującej nie znają, lub też wyznają zasadę iż niedola kobiety, jej nieszczęście i nędza

\*) Patrz: „Mój pochód krzyżowy“. J. Butler, z przedmowa S. Posnera.



jest czemś przyrodzonym — zmienić się nie da. Nie dążą też wcale do uzyskania bezpośredniego wpływu politycznego, lecz powtarzają za mężczyznami, że kobieta może o wiele więcej użyć pośrednio za pomocą „kobiecości“. Na to słusznie odpowiadają sufrażystki, iż te bierne poddane kobiety, uznające niewolnictwo swe duchowe i zależność fizyczną za prawo natury, kochające swoje kajdany, dążą jednak ciągle do podstępnej opanowania mężczyzny „żelazną ręką w aksamitnej rękawicze (the iron hand in the velvet glove“).

W ten sposób wytworzyła się cicha walka płci na wzajemnym oszukiwaniu się i tajemnej pogardzie oparta. Koleżeństwo i szacunek obu płci istnieje tylko u sufrażystek, podzielone przez ich coraz liczniejszych zwolenników. Bojownicy o prawa dla kobiet i dla ludzi w ogóle, oczekują z utęsknieniem chwili, w której kultura wzniesie się na takie wyżyny, że wyzysk w zawodzie, w małżeństwie, w domu i urzędach stanie się niemożliwością, a reglamentacja prostytucji i handel białymi niewolnicami należeć będą do czarnej karty przeszłości.

Z pośród angielskich mężów z końca ubiegłego wieku, zwolennikami prawa wyborczego kobiet byli: Thackeray, Stuart Mill, Disraeli, Balfours, Jacob Bright. Do przyjaciół ostatniej doby należą między innymi: lord Robert Cecil, konserwatysta; liberalny dziennikarz Brailsford, autor Sidney Low; Mr. Tim Healy irlandzki poseł, obrońca więzionych przewoźczyń ruchu. Ten ostatni pyta z naiwną prostotą. — Czego się mogą obawiać mężczyźni, jeśli dadzą kobietom prawo wyborcze? — Na to Mr. Lavrance Housman artysta-krytyk, człowiek wielkiego umysłu, tak się otwarcie wypowiada:

„Prawo wyborcze wybawia kobietę od bezgranicznego wyzysku, kładzie granicę niekczemnej przewadze męskiego elementu, uniemożliwia niewolnictwo płciowe kobiety, rozpowszechnione dziś we wszystkich państwach kulturalnych. Prawo wyborcze wzbudzi w kobiecie większą niezależność, odporność, ułatwi jej ucziw i po ludzku wynagradzaną pracę. Nie będzie na bruku wielkich miast tyle „słodkich dziewcząt“, które można osiąść za ciepłą wieczerzę lub za bilet teatralny. Obszar myślowy, na którym polują panowie o podwójnej moralności zacieśni się znacznie. *Temu należy zapobiec, w tem jedno ze źródeł oporu*“.

A oto wyjątek z przemówienia Izraela Zangwill: „Nigdy nie cenilem tak wysoko prawa ujmowania się za wami, jak dziś kiedy stoicie przed sądami karnymi, pogardzane i unikane przez ludzi. Jestto smutny paradoks, że droga do dobrego musi prowadzić przez zło. Lecz prawo buntu jest tak samo podstawowym prawem ludzkim — jak prawo ucisku jest podstawowym publicznym prawem. Przeciwnicy są godni siebie: duch przemocy przeciw przemocy ducha...“

„Słyszeliśmy dużo o uszkodzeniu własności, lecz istnieje duchowa własność o wiele cenniejsza niż szyby wystawowe, jest nią poszanowanie prawa i porządku... Skończyliśmy z jednostronnym światem męskim rasy „wczorajszych“, podczas gdy my należymy do „jutrzejszych“ i kierujemy nasze kroki w przyszłość, która powoła do współpracy mężczyzn i kobiety, *ażby się stało jaśniej na świecie*“...

Rząd nie prześladuje mężczyzn domagających

się praw przemocą, lecz spełnia ich żądania. Dowodem tego są ostatnie strajki kolejarzy i górników, które kosztowały kraj miliony i gdzie postradało wielu ludzi życie. A jednak kary wymierzone strajkującym były znacznie lżejsze od kar stosowanych względem sufrażetek. Mężczyźni nie zdobyli nigdy praw politycznych bez użycia przemocy—dowodem tego: Magna Charta, Cromwell, Rewolucja francuska, oswobodzenie niewolników w Ameryce, Młodo-turecki i Młodo-chiński ruch, itp.

Utarty jest frazes, że przemoc nie jest właściwą bronią kobiety—zapewne, lecz czy właściwym jest stosowanie do niej podwójnej miary od wieków?? Sufrażetki muszą iść tą drogą, bo poznały że nie wystarcza domagać się sprawiedliwości, lecz że *trzeba mieć siłę, choćby przemocą, sprawiedliwość uczynić prawem*. Są sprawy w świecie zewnętrznym i duchowym, w których logika, rozsądek, prośba nie pomaga—tu staje się przemoc konieczna. Walka sufrażetek jest taką konsenkwentną koniecznością, bo bunt jest jedynym zrozumiałym argumentem polityków... Ludzie praw pozbawieni muszą być buntownikami...

Ruch sufrażetek jest ruchem ucisnionych, uproszczonych kobiet angielskich, ze wszystkich warstw narodu. Wiedzą one dobrze czego chcą i posiadają wyrobienie społeczne, którego niema dziś jeszcze w żadnym kraju. Dlatego większość społecznych nie rozumie ich. Na zapytanie czego żąda, do czego zmierza, odpowiada każda z dumną godnością; *„bezprawie usunąć, wnieść sprawiedliwość“* (redress grievances, bring justice). I dlatego weszły na cierniową drogę „militans tactics...“

Może powyższe myśli podane w streszczeniu z wyczerpującej pracy poważnej autorki niemieckiej, rzucą światło nowe na ową bolesną, dotąd nie rozstrzygniętą kwestję społeczną. Może bezstronniejszym okiem spojrzymy teraz na owe szeregi wykluczonych z pod prawa kobiet, walczących bohatercko o „kulturę etyczną“ w stosunku do nich prawodawstwa i społeczeństwa...

Stawomir.

## Na marginesie jubileuszu.

Dnia 19-go października 1813 — pamiętnego—roku padły na brzegu wrogiej jesiennej wezbraniem Elstery, z ust świeżo mianowanego przez Napoleona „marszałkiem Francji“ — ks. Józefa Poniatowskiego te bohaterkie słowa: „il faut mourir en brave“.

Dnia 18-go października na błoniach Krakowskich, u stóp kopca, usypanego rękami polskimi, dla uczczenia pamięci życia i zgonu Naczelnika, a przekształconego wolą rządu na fort austriacki, — odbywały wojska austriackie rewję w celu... uczczenia... zwycięstwa pod Lipskiem. U stóp tegoż kopca na tych że samych błoniach Krakowskich, nazajutrz zebrały się połączone we wspólnym obchodzie szeregi polskiego sokolstwa, drużyn i organizacji strzeleckich i skautów w celu uczczenia... smutnej rocznicy śmierci wiernego żołnierza Napoleońskiego. Dnia 18-go października odbyła się parada wojskowa i msza polowa, ku uczczeniu zwycięstwa; 19-go—pochód wielotysięcz-



ny ludu na Wawel i — na błoniach — również... msza polowa, smutna, ku uczczeniu bolesnych wspomnień, którym na imię śmierć i porażka. Dnia 16-go rada miasta Krakowa—po dłuższej dyskusji—sankcjonuje zarządzenie prezydum miasta, oddające błonia miejskie dn. 18-go paźdz. do rozporządzenia władzom wojskowym, bierze tem samem udział w c. k. austriackiej manifestacji. Taż sama Rada, angażuje się w uroczystości zgoła odmiennej — więcej: bo organizuje dzień 19-go października i wieniec składa poświęcony „bohaterskiej pamięci księcia Józefa Poniatowskiego“, tego który walczył przeciwko Austrii dn. 18 i 19 nad brzegami Pleissy, osłaniając odwrót armji Napoleona.

Któż jest więc ten „książe Józef“, który staje się przyczyną tej dezorientacji w Krakowie — i czy tylko w Krakowie? Któż jest ten, co się urodził na obczyźnie, ein wiener Kind—jak go nazywa jego biograf—z matki czeskiej, krew włoską nawet mający w swych żyłach, mający w swoim rodzie króla Stanisława Augusta i biskupa Michała Poniatowskiego, który o mały włos się nie przyczynił w 100 lat po swej śmierci do tragi-komicznej zmiany ministerjum w rządzie municypalnym miasta Krakowa i który przed polakami „austriackiego“ i nie — austriackiego „wyznania“ staje jako wspomnienie laurów, czy kłeski? momento bólu, czy wesela?.. Lipska? Elstery? Kim że był wreszcie i czem został człowiek, który staje się przyczyną tej dezorientacji w Polsce? Czem jest ten „generałowicz“ austriacki, syn Andrzeja Poniatowskiego, feldcechmistrza austriackiego, który w r. 1771 walczy przeciwko Polsce, wychowanek francuza Hennequina, niemca Königsfelda i anglika Plunketta—późniejszy „książe Pepi“, który rozpoczynawszy od r. 1789 zadziwia prostolinijnem bohaterstwem swojego życia, poświęconego ojczyźnie i „tragicznem pięknem“ swojego zgonu?

Odpowiedź na to daje—stara się dać — w jubileuszowem wydaniu swego dzieła prof. Szymon Askenazy:

„Książę Józef, jako bohater narodowy—mówi o nim ten najlepszy jego biograf—zajmuje stanowisko odrębne, sobie tylko właściwe. Można by je poniekąd tak krótko wyrazić: iż w uczuciu, żywionem dla niego przez Polskę, obok czci, przede wszystkim góruje miłujące upodobanie, Inna spóczesna mu postać przewodnia, stary Naczelnik Najwyższy Kościuszko, obok głębokiego przywiązania przede wszystkim na część niepodzielną rodaków zasłużył sobie surową cnotą. Wiecznie młody Wódz Naczelnik, Poniatowski, innego zgoła zakroju człowiek, kochany jest od swoich i za cnotę i za wady, kochany za to, iż w jednych a nawet w drugich był świetnem wcieleniem charakteru narodowego, kochany za wysień swych i zgonu piękno tragiczne niby zogniskowanie w jego osobie odbicie tragicznych losów zbiorowości“.

Czem jednak wytłumaczyć rozbieżność pomiędzy postacią „Księcia Józefa“ a otoczeniem — pomiędzy „dziełem“ jego a wpływami wychowawców i krewnych najbliższych. Skąd, prawem jakiego dziedzictwa narodził się ten, który twierdził przed śmiercią, że honor polaków Bóg w jego ręce złożył?

\* \* \*

„Staranie wszelkim sposobem ma być czynione, aby wojna mogła być oddalona. A jeśliby

nie mogła być oddalona, co czynić?“ — zapytywał swego czasu przeciwnik wojny Andrzej Frycz Modrzewski. „Zgnoli swoją ziemię krwią pracowicie. Buńczuczny ich sen wydawał im się coraz nieśmiertelniejszy i głębszy i coraz czarowniejszy, a byli, jak ów, który śpi i nie wie, że ktoś z boku coraz krytyczniej i niechętniej na niego patrzy. Tylko gienjuszów karmić można systematycznie: gorczycą, tylko ofiarników: ołowiem, bez ujmy dla dostojności ich żołądków“.

Słowa te, powiedziane z powodu krwawych tragicznych wysiłków garstki zapaleńców powstańców—ostatnich powstańców w r. 1864-ym—można by zastosować i do całych pokoleń Polski i do całych dziesięcioleci jej bolesnej historii. Nie wszyscy, oczywiście, są gienjuszami i nie całe społeczeństwo składa się z ofiarników. Czyż znaczy to, że wcale w niem niema gienjuszów i ludzi, zdolnych krwią własną przypieczętować swoje ideje?

Całe pokolenie w Polsce truje gorczyca—prawem tragicznego dziedzictwa spadł ołów zarówno na wnuków Kościuszki, jak i Traugutta. A ponieważ, jak twierdzi poetka, gorczyca i ołów szkodzą dostojństwu średniej i miernej miary żołądków, czyż należy się dziwić, że tyle dostojństw i godności ludzkich w Polsce było i jest złamanych, że tyle szczytnych ukochań spowszedniało i zeszło do poziomu frazesu, że tyle snów „buńczucznych“ snów polskich,—jako symbolu Miłości i Prawdy,—tętniących, jak sybirski sen Anhellego—wdeptanych zostało bezpowrotnie w szarą, głupią rzeczywistość ludzkiego życia, upadającego bytowania... męznego ongi i dumnego narodu?

Sny, sny w Polsce dziś śni wielu jej synów. Czy tylko dziś? Czy już za czasów pierwszego rozbioru Polski dwaj rodzeni bracia Sułkowscy: imię książę Franciszek Sułkowski, b. major wojsk rosyjskich, przeciwstawiający się żądaniom ks. Repnina—i—imię książę Antoni Sułkowski—któremu pierwszy zarzuca zamiar zdrady ojczyzny: — nie wiodą sporu o orjentację polityczną Polski i o orjentację polskiego sumienia? „Będzie to powinnością mojej Rzeczypospolitej — pisze książę Franciszek Sułkowski, konfederat barski, — która jest sędzią moim własnym i jedynym, sądzić o tem, swego czasu, jeżeli gorliwość moja przyzwolitą była do obowiązków. Wmć, panie apostołe, który mi braterską wspominasz jedność, tak ściśle nam zaleconą, chciej to zważyć, że gdyby ten, który dał wme Panu życie, mógł być to przewidzieć, że wme pan masz się stać najemnikiem ojczyzny, udusić by kazał wme pana zapewne po urodzeniu...“

... Ostrzegam zaś wme pana, że jeżeli moje dziedzictwo najmniejszą poniesie krzywdę z jakiegokolwiek bądź strony, Leszno też miasto nasze, gdzie wme pana część nie cała należy się, pójdzie natychmiast w popiół. Toż samo będzie się dziać i z fortunami tych ichmć, którzy zawodzą tak, jak i wpan święte obowiązki swoje. \*)

Ten spór dwóch braci Sułkowskich z r. 1768 mógłby być wzięty za prototyp wielu sporów w Polsce. Zachodzi pewna analogja pomiędzy cytowanym zachowaniem się w r. 1768 ks. Franciszka Sułkowskiego, dość lekkomyślnej zresztą i awanturniczej—biorąc ogólnie—konduity, — a zachowaniem się ks. Józefa Poniatowskiego. W r. 1768

\*) Rkp. Ossol. fol. № 192 str. 136 „Respons Xięcia Sułkowskiego, do xięcia jmcji Antoniego brata“.



pierwszy pisze list do Repnina, w r. 1791 Poniatowski pisze list do „wszechwładnego“ Potemkina, księcia taurydzkiego i jak mówiono, kandydata do naszej korony. Gdy się wyjaśniło ostatecznie, że król Stanisław August zgłosił akces do Targowicy—i nakłaniał do takiego samego kroku i księcia Józefa, ów pisze te pamiętne słowa: „Najjaśniejszy Panie! Odebrałem ekspedycję, rozkaz i list Waszej Królewskiej Mości przez generała Kirkora... Mógłżebyś wahać się Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon, zgon godny Ciebie, zgubę zupełną, ale zaszczytną, niż tę resztkę panowania, niż tę resztę narodu skalaną intrygą, zdradą, nierządem, słabością. Należało poświęcić się, poświęcić nas wszystkich: jak okrutna liłość Twoja, kiedy ona kupiła dla nas hańbę i zakatę! Wielhorski i Mokronowski oznajmia Ci uczucia nas wszystkich, są one niewzruszone.“ Ten spór i ta rozbieżność pomiędzy Antonim Sułkowskim, a Franciszkiem i jeszcze bardziej Józefem Sułkowskim, a także pomiędzy Stanisławem, Michałem i nawet Jędrzejem Poniatowskimi z jednej strony, a niewzruszonym bohaterstwem Józefa Poniatowskiego—są znamiennymi dla Polski — i to nie tylko ówczesnej. Na tem podłożu powstaną niesnaski wewnętrzne Polski w godzinach wszelakiego czynu. I jeśli zwyciężą—przy pomocy obcej—Antoni Sułkowski i Stanisław August, czyż będzie to równoznaczne istnieniu i zasługom Franciszka Sułkowskiego i księcia Józefa?

Z szarej, tragicznej, zaskorupiałej w bólu ziemi polskiej wyrastają pokolenia Judaszów, odszczepieńców i tchórzów, lecz z tej że samej ziemi, prawem duchowego i fizycznego dziedzictwa powstaje moc charakteru generała Dąbrowskiego, twórcy legji polskich, któremu tak niesłusznie zarzucano, iż jest „pensjonatem nieprzyjaciół“, „tajnym sługą suworowskim, pruskim, dyrektorjalnym“ i który z taką zawilnością stylistyczną i gramatyczną i taką prostotą i bohaterstwem ducha odpowiadał: „Żebym ja o siebie sie ino starał, jusz dawnobym był w służbie jednego monarchi, nieprzyjaciela Ojczyzni naszej, okryty rangami, dobrze płatnim i spokojnim, tu zaś jezdem każdemu podległy, nie płatni, pełno długów y praci niezmierny, wszystko to w wydoku dla naszej Ojczyzni, nuszby ta jusz bez nadziei y powstania upadła, pierwszy jezdem wszystko opuścić y losem naynieszczęśliwszego człowieka sie dzielić“.

Powstaje surowa, nieskazitelna cnota obywatelska i żołnierska Naczelnika, polot dumnych skrzydeł księcia Józefa. I tak dalej! Na życie każdego późniejszego pokolenia kładą refleksy zasze przed stuleciem wypadki. I by wypadki te nie przeminęły bez śladu i by te czy inne wskazania, przyświecające dawniej, mogły trwać w Polsce, obok miazgi i tandety ludzkiej—naradzają się gienjusze i ofiarnicy, których dostojności, godności ludzkiej i bohaterstwa nie złamie tragiczny los ojczyzny, albo słabość lub znikczemnienie najbliższych krewnych i otoczenia. Do takich ofiarników bezsprzecznie należał Józef Poniatowski.

Bolesław Zahorski.

Kraków.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

## Z księgi ciszy.

### Strach.

*Bór się owinął w płaszcz posepny mroku  
I na wierzchołki mgłę zarzucił ciemną.  
Spieszyłem z wielką błyskawicą w oku,  
By zmierzch przeświecać, co się stał przedemną.*

*Tam, z tych przepastnych głębin, co się zwarty  
Olbrzymim splotem liści i wykrotów.  
Jak tożę śmierci tych burz, co umarły,  
Ktoś ku mnie w ciszy szedł na wszystko gotów.*

*Ktoś, co miał stopy, które echo liczy,  
Gdzie jak gromnica stała sosna blada,  
Tam obok brzozy, co skrzyp tajemniczy  
Rzuciła w przestrzeń, gdzie sie czai zdrada; —*

*Ktoś szedł i groza szerzyła się w borze. —  
Skroś liście rzadkich gwiazd widziałem błyski,  
Moczarów grząskie wilo się bezdroże,  
Ktoś szedł, ktoś straszny, dziwny, jak śmierć bliski...*

*Ktoś szedł i nagle...*

## W nowym teatrze.

Teatr nasz, tułający się, od chwili wyproszenia go z gmachu miejskiego, po rozmaitych czasowo używanych, a najczęściej nieodpowiednich lokalach—pozyskał nareszcie siedzibę, którą poniekąd za własną uważać może. Moment to niewątpliwie w dziejach jego doniosły. Zasługiwał też w zupełności na ten nastrój świąteczny, jakim powitała tutejsza inteligencja polska otwarcie sezonu.

Przywdziani *en gale*, pospieszyliśmy tłumnie. Jeśli świecił kto nieobecnością, to dlatego jedynie, że nie wszystkich sala pomieścić mogła. Kogo nie powiodły uczucia obywatelskie, tego zagnała ciekawość uroczystości, a przede wszystkim samego gmachu.

Co zrobiono?..

Boć zza prowizorycznego parkanu, co przez szereg miesięcy otaczał tajemnicze rusztowania, dobiegały nas od czasu do czasu echa nieporozumień, które—*pro publico bono*, oczywiście — waśniły głównych fundatorów świątyni sztuki. Słyszeliśmy o jakichś przesileniach, zamachach stanu, o nagłym popadnięciu w nieflaskę autora planu... Czytywaliśmy, tonem dyktatorskim technące, odezwy prezesa, który zawsze miał słuszność, bo ją z własnej czerpał kasy... Aż wreszcie dowiedzieliśmy się o jego niespodziewanej abdykacji.

Były to wszystko burze w szklance wody, które wystarczały jednak, by odgłosami swych gromów niepokoić opinię naszego partykularza.



To też i przed rozpoczęciem widowiska, i w czasie antraktów, tłok panował we wszystkich zakamarkach...

Oglądano.

Naogół pierwsze wrażenie dał teatr korzystne. Front skromny, lecz poważny i harmonijny w rysunku; dojazd zamazystym nakreślony łukiem, zgrabny westybiul, w miarę szerokie, spadziste korytarze, wygodne schody, bardzo gustowne foyer, wysoka, jasna, dobrze wentylowana i prostota swą estetyczną widownia—wszystko to wywoływało na przemian słowa uznania lub miłego zdziwienia. Potem dopiero zaczęto spostrzegać tu i owdzie braki—w większości drobne.

Jeden wszakże jest rzeczywiście wprost nie do darowania.

Galerję potraktowano *en canaille*.

Skutkiem prawdopodobnie zbyt głębokości, tudzież zbyt wysokich parapetów, cały pierwszy plan sceny ginie tu z oczu. A są nawet miejsca, np. drugie rzędy boczne i na skrajach, skąd dostrzega się tylko rąbki baldamentów, lub też nie widać nic zgoła, prócz.. sufitu. Wstawanie, wspinięcie się na palce nie pomaga.

Wogóle z galerji aktor, występujący na plan pierwszy, zdaje się być kaleką, nóg pozbawionym.

Dopóki fatalny ten błąd naprawiony nie będzie (a—jak słyhać—jest on do naprawienia) muszą artyści mieć go na uwadze i jaknajczęściej przenosić akcję na plan drugi.

Co się tyczy owej poprawy błędu, to trudno przypuszczać, by dał się on usunąć już w obecnym sezonie. Odbije się to ujemnie na kieszeni dzierżawcy teatru, ale—co ważniejsze—krzywdę wyrządził kulturze, może bowiem zdepopularyzować scenę wśród mas, które już poczynają się nią zeszłej zimy interesować.

By zaradzić złemu, jedno tylko na razie da się zrobić: dyrekcja, mianowicie, powinna wynotować wszystkie ślepe miejsca i nie sprzedawać na nie biletów. Będzie to dla niej mniejszą szkodą, niż zniechęcanie do teatru publiczności galerjowej.

Nie największą, ale zato najciekawszą wreszcie wadą widowni jest to, że z owej źle potraktowanej galerji słyhać lepiej, niż z pierwszych rzędów krzeseł, gdzie niestaranna dykcja niektórych artystów daje się słuchaczom mocno we znaki.

\* \* \*

Na pierwsze przedstawienie obrano „Lilje“ L. H. Morstina, sztukę, gromko chwaloną przez dzienniki rozmaitych miast polskich, zanim ją jeszcze krytycy poznać zdążyli. Wielce to utrudnia sąd obiektywny, jeśli się nie chce, wśród banalnych komplementów, tracić z oczu granice między sprawozdaniem, a reklamą.

A nie czytałem dotąd ani jednej recenzji ze sztuk p. Morstina, w której nie byłoby reklamarskiego patosu. Jeśli się to nie dzieje za własną jego przyczyną, to doprawdy godzien jest pożałowania. Ludek dziennikarski, któremu imponuje literat-hrabia, oddaje tem pocie istic niedźwiedzią przysługę.

Zwłaszcza gdy się czyta fanfary na cześć „rodu Morstinów“ i „nieodrodzonego spadkobiercy świetnego nawiska i t. p.“—w umyśle czytelnika krytycznego zjawić się musi pytanie; co to ma

właściwie wspólne ze sztuką? Czy chwalczy tak niepewni są talentu pisarza, że osłaniać go muszą herbowymi tarczami?

Czym prawnikiem jest p. Morstin, jako dziedzic nazwiska, to na jego stanowisko w literaturze żadnego nie wywrze wpływu. Natomiast inna zgoła następcza się tu genealogja. P. Morstin jest niewątpliwie duchowym potomkiem Wyspiańskiego.

Pytanie tylko, czy pokrewieństwo to jest istotne, wynikające z podobieństwa organizacji psychicznej, czy też pozorne, oparte na przejęciu się powierzchownymi cechami pierwowzoru.

Wątpliwość tę nasuwa już sama forma utworu Morstina. Zarówno w stronie malarskiej (odgrywającej tu rolę poważną), jak i w stylu, w języku daje się odczuwać niedociągnięta imitacja—imitacja, zresztą, najprawdopodobniej bezwiedna.

Dekoracyjność dzieł Wyspiańskiego—jakkolwiek organicznie związana z dziełem literackim—jest sztuką samoistną. Akcesorja, oddziaływające na wzrok,—to nie zwykłe informacje, gdzie się dana scena rozgrywa i w jakim kto chodzi kostiumie; to są wyrazy pewnych uczuć, dla których pocie słów zabrakło, a jeśli nie zabrakło, to w każdym razie łatwiej może mu je przenieść do duszy widza obrazem, niż mową. To też niejedyn obraz sceniczny Wyspiańskiego, nawet gdy nie uzupełniają go słowa, może być zawsze źródłem wzruszeń, daleko wybiegających poza sferę wrażeń tylko estetycznych.

Tego nie ma w sobie zupełnie dekoracyjność sztuki Morstina, choć na pozór tak bardzo przypomina szaty zewnętrzne utworów Wyspiańskiego. Widzimy tu zwykłą pomysłowość literacką, pewne konieczne tło dla danej akcji. Tło—nie więcej, choć piętno swe na niem wycisnęła obecna moda, która autorom i dyrekcjom zapominać pozwala, że teatr jest w pierwszym rzędzie terenem sztuki aktorskiej a nie malarskiej.

I język, wiersz Morstina uderza również podobieństwem do wiersza Wyspiańskiego (choć znacznie jest rytmiczniejszy); ale wystarcza kilka jakichkolwiek strof, by widzieć w pierwszym z nich tylko imitację. Czytając czy słuchając Wyspiańskiego, nie wyczuwamy żadnego wysiłku, żadnej sztuczności, „ujędrniania“, lub archaizowania języka. Doznajemy wrażenia, jakby tych myśli wprost nie można było w inne odziać słowa. Treść jest mocna, jak forma, a forma, jak treść. Są one ze sobą ściśle organicznie związane i nikt tu nie odnajdzie żadnych niekonsekwencji.

U Morstina inaczej. Formy stare sasiadują często w jego wierszu nawet z neologizmami. (W braku pod ręką egzemplarza, grzeszę wprawdzie niepodaniem przykładów, ale każdy uważny czytelnik czy słuchacz odnalesć je potrafi w obfitości).

Wszelako największe (i najmniejsze równocześnie) podobieństwo Morstina do Wyspiańskiego zachodzi w budowie ich utworów, posiadającej wiązania nadzwyczaj słabe.

Wyspiański dramatów—ściśle mówiąc—nie pisał. Dawał on tylko zapomocą mechanizmu teatralnego szereg ruchomych i przemawiających obrazów, które uzmysławiały pewne myśli i odczucia autora. Z wyjątkiem może jedynie „Sędziów“, żadna z tych sztuk niema konsekwentnie rozwijającej się fabuły i pisarz zgoła nie krępuje się wprowadzaniem, gdy mu potrzeba, jakiegokolwiek



*Deus ex machina*, który w pożądanym sposobie rozwiązuje sprawę.

Zapatrzanie się w ten właśnie wzór pozwoliło p. Morstinowi sięgnąć po temat do ballady Mickiewiczowskiej, w której grzech otrzymuje karę z rąk siły postronnej. Co dobre jest i piękne w legiendzie, z podania ludowego czerpanej, nie zawsze właściwe będzie w utworze dramatycznym, od którego — dziś zwłaszcza — wymagamy obrazowania przeżyć i walk duchowych, mających pewne konieczne następstwa. Tymczasem w „Liljach“ konieczności takiej nie widzimy. Gdyby nie dwukrotne pojawianie się „Wróża“, sprawa wzięsby mogła zgoła inny obrót i zbrodnia nie byłaby ukarana, ale nagrodzona. Cudowi tylko zawdzięczać trzeba, że tak się nie stało.

Dlaczego jednak wolno Wyśpiańskiemu pozwolić się takimi cudami (wędrowanie np. trumny św. Stanisława), a p. Morstinowi nie?

Dlatego, że — jak się rzekło — Wyśpiański dramatów, w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie pisał. Dzieła jego to — ośmielmy się powiedzieć — publicystyka, publicystyka, w pełną poezji formę przybrana. Wyśpiański podobnie, jak niemal wszyscy wielcy pisarze-obywatele, w każdym swym utworze jakąś prawdę narodowi głosił, starając się stworzyć mu oczy na pewne zjawiska. Bolesne szczytowanie, które, z bystrej spostrzegawczości i ukochania narodu wystąpił i wspaniałym dziełem sztuki zakwitło — oto nieśmiertelne jądro tych utworów. Jemu to zawdzięczać one będą swą trwałość; formie zewnętrznej — popularność tylko.

Tę może mieć na razie i praca Morstina. Do zdobycia jej bowiem wystarcza efekt, na imitowaniu Wyśpiańskiego oparty, a będący lupiną — nieistniejącego jądra.

Pozwoliłem sobie na zestawienie dzieł dwu tych autorów nie tylko z racji rzucających się w oczy analogii, lecz i dla tego, że upoważnia nas do takich porównań reklama. Gdyby nie ona, gdyby nie jej chwalby przedczesne i przesadne, sąd o p. Morstinie wypaść mógłby korzystniej. „Lilje“, jako dzieło poety dojrzałego, mierzącego się z olbrzymami literatury naszej — to praca słaba. „Lilje“ natomiast, jako występ pisarza młodego — to świadectwo pięknie zapowiadającego się talentu. Wystarczy przyjrzeć się charakterystyce występujących tu postaci, by co do tego nie mieć żadnej wątpliwości.

\* \* \*

Wystawa „Lilji“ zadowolili nie tylko publiczność, ale i autora. Była nader staranna pod względem dekoracyjnym i wyreżyserowana przez p. Orlińskiego doskonale. Nic nie zdradzało, że zespół jest świeżo zebrany. Miało się wrażenie, jak gdyby wykonawcy oddawna zgrani byli ze sobą.

W sztuce jest właściwie tylko jedna rola popisowa — to „Pani“. Grała ją p. Leśniowska, wykazując zdolność oddawania uczuć nader złożonych, jako też godzenia realizmu z stylizowanym giestem i deklamacyjnym tonem postaci napół fantastycznej. Sądząc z tej roli, p. Leśniowską uważać można za dobrego nabytek.

Ujemną stroną wykonania sztuki było, to że artyści nie zdążyli się jeszcze zorientować w warunkach akustycznych sali i wadliwie głos akomodują. Nadto reżyserja zwrócić musi wogóle uwagę na dykcję artystów.

Rolę „Pani“ dublowała następnie dobrze Wilnu znana i ciesząca się tu zasłużoną sympatją p. Żbikowska. Prócz niej przypomnieli się naszej publiczności pp. Skarżyński i Bryliński, którzy bardzo poważnie uczynili postępy. (Niech tylko p. Bryliński nieco wolniej mówi).

Z kilku pierwszych przedstawień trudno sądzić o wartości artystycznej nowego zespołu. Wystarczyły one jednak, do zauważenia, iż jego perłą jest p. Janusz Orliński, który, jako Łatka w „Dożywociu“ Fredry, okazał się aktorem miary niepowszedniej. Wykonanie tej roli jest arcydziełem swego rodzaju.

W tejże sztuce korzystnie wyróżnił się też p. Neubelt, wykazując dużą pomysłowość w roli Twardosza.

Trupa, zgromadzona przez p. W. Baranowskiego uczyniła na pierwszy rzut oka wrażenie korzystne. To też trudno pojąć, czemu już na drugim przedstawieniu „Dożywocia“ teatr świecił pustkami.

Winić publiczność?... Ha, pewno, że jest to jej wina.

Lecz i dyrekcja pamiętać musi, że dobre są tradycje i pamiątki, ale przede wszystkim „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe“... Trzeba wystawiać sztuki, poruszające umysły zagadnieniami, dziś ludzkosć interesującymi; trzeba do martwych murów teatru dać dostęp odgłosom społecznego ruchu umysłowego, społecznego walk intelektualnych.

Inaczej w naszym przybytku sztuki panować będzie tylko cisza i powaga świątyni.

B. H.

## PRASA POLSKA.

— „Kurjer Krajowy“ w chwilach wolnych od walkowania sensacyjnych rewelacji na temat „tajemnicy pałacu ordynatowej“ lub „naszyjnika z pereł“ puszcza się odważnie na flukta rozważań polityczno-społecznych. Jako owoc tych rozmyślań ukazał się artykuł p. t. „Ten trzeci“, w którym czytamy co następuje:

„Gdy się dwóch klóci — trzeci korzysta. Tak było zawsze, tak się i dzisiaj dzieje.

A dzieje się to obecnie w Kraju naszym już nie z powodu waśni polsko-litewskiej, lecz na gruncie nowej poważnej kwestji: w jakim języku ma być wykładana białorusinom - katolickim religja oraz w kościele katolickim na Białejrusi odbywać się winno nabożeństwo dodatkowe?

Gdy odrodzeniowy ruch białoruski pierwsze kroki na drodze swej stawiał, w obozie uświadomionych narodowo białorusinów rozległy się głosy, żądające uznania praw języka białoruskiego w szkole, w kościele i w cerkwi, przy nauce religji. Jednak kler katolicki, konserwatywny i wrogi w stosunku do wszelkich innowacji, aczkolwiek waśni polsko litewska winna była służyć mu za naukę, nie uwzględnił bynajmniej postulatów białorusinów, a prośby parafjan (jedna z nich pochodziła z pow. lidzkiego) nie znalazły posłuchu u ks. biskupa Roppa. Ruch białoruski lekceważono — i w tem tkwi gruby błąd, którego skutki obecnie odczuwać się dają.

Kwestja językowa nie została wówczas załatwiona — chociażby zasadniczo — w sposób, nie urażający białorusinów. Gorzej: dano im do zrozumienia, iż nacjonalistyczno-klerykałne sfery polskie zachowują względem nich stanowisko niemal wrogie, zabijając wiarę w sympatje polskie dla ruchu. tak bardzo dla sprawy demokracji dodatniego...



Nie wątpimy, iż kierownicy ruchu białoruskiego—jego liderzy—rozumieli dokładnie, że nie naród polski, lecz pewne tylko warstwy społeczeństwa miejscowego zapomniały o związku braterskim dwóch narodów. Natomiast stosunek kleru do białoruszczyzny postarał się wyzszyć „ten trzeci“: pod wpływem agitacji nacjonalistów rosyjskich sfery rządowe wystąpiły rzekomo w „obronie białorusów od polonizacji“, lecz zamiast nadania im praw narodowych—czego rządali—rząd narzucił narodowi białoruskiemu obcą dlań mowę rosyjską, nakazując duchowieństwu katolickiemu wprowadzenie rosyjskich wykładów religii oraz dodatkowych nabożeństw w kościele“.

Pogląd powyższy byłby niewątpliwie słuszny, gdyby nie pewna nieściskość w przesłance. Oto głosy, domagające się języka białoruskiego w kościele pochodzący nie z łona ludu, lecz z pośrodku szczupłej garstki „leaderów“ ruchu białoruskiego. A to jest wielka różnica. Lud bowiem przywiązany do form uświęconych tradycją wiekową nie był i nie jest bynajmniej skłonny do reformy unarodowienia kościoła. Względ ten głównie powstrzymywał wyższe władze duchowne, tak ugodowo na ogół usposobione pod względem narodowościowym, od wprowadzenia języka białoruskiego do nabożeństwa dodatkowego.

Pozatem jest jeszcze jedna okoliczność, której nie wolno nie brać pod uwagę. Czy „Kurjer Krajowy“ może zaręczyć, że wprowadzenie języka białoruskiego do kościoła nie byłoby tylko okresem przejściowym do zamiany go na język rosyjski? Wszakże rząd dotychczas nie uznaje odrębnej narodowości białoruskiej. Używanie języka białoruskiego w kościele było by precedensem do stopniowej rusyfikacji kościoła i upoważniało by władze administracyjne do wtrącania się ustawicznego w wewnętrzne jego życie.

Czy przyszły na myśl „Kurjerowi Krajowemu“ tego rodzaju konsekwencje? Jeżeli nie, to warto, aby się nad nimi głębiej zastanowił.

— Nader trafne uwagi wypowiada „Kurjer Poranny“ o metodzie, stosowanej stale przez endecję w walce z przeciwnikami:

„W jednej z nowych komedji francuskich występuje pewien jegomość robiący w polityce, który zdobywa sobie entuzjazm i zaufanie tłumów bardzo prostym sposobem „Quand je crie: a bas les juifs! je me sens imbattable“—mówi z dumą o przyczynie swoich powodzeń. Redaktor „Przeglądu Narodowego“ p. Zygmunt Balicki wziął sobie za dewizę to samo hasło: „Kiedy krzyknę: precz z żydami! czuję się niezwycięzonymi!“ To hasło zresztą wślad za p. Balickim przyjęło oddawać jego stronnictwo naprzód w okresie wyborów, a od chwili obalenia kandydatury p. Kucharzewskiego już na stały codzienny użytek. Z którejkolwiek beczki zaczniesz się dyskuszję z panami z narodowej demokracji, choćby się z nimi mówiło o metafizyce czy o astronomji, o poezji czy o gastronomji, przy jakiegokolwiek różnicy poglądów, zamiast wszelkich argumentów, nie usłyszysz się nic innego, jak tylko wrzaskliwy krzyk: „Precz z żydami“. I daremnie nawet ci, którzy tak gorliwie wtórują im w hasła walki z żydami, jak pani Moszczeńska, próbują z nimi podjąć jakakolwiek rozprawę o rzeczach publicznych, nie mającą nic wspólnego z kwestją żydowską. Za całą odpowiedź usłyszysz tylko przeciągły krzyk: „A bas les juifs“ i uprzejmą uwagę w dodatku: „Pokazuje się, że można wydawać z talentem pisane broszury przeciwko żydom, a mieć samej umysł żydowski“. Umysł żydowski ma bowiem każdy, kto nie chce przysiąc, że narodowi demokraci se w kwestjach narodowych nieomylni jak sam Papież „dum ex cathedra loquitur“. Kiedy p. Balicki, hamletyzując nad chmurą, oświadczy, że ta chmura jest podobna do wielbłąda, wtedy kto polak ma obowiązek pochylić kornie czoła i odpowiedzieć jak Polonjusz: „w istocie ona wygląda na wielbłąda“, kiedy znajdzie w niej podobieństwo do łasicy, musi się przyznać, że „jest

uformowana na kształt łasicy: kiedy porówna ją do wieloryba, powinnością staje się przywodzić: bardzo podobna do wieloryba“. Kto tego nie uczyni, dowie się, że „bezwiednie lub świadomie daje się zaprząd do służenia interesom żydowskim“. W tych replikach jest niewątpliwie obłąd, ale „though this be madness, yet there is method in't“ — chociaż to obłąd, ale przecież jest w nim metoda.

Metody tej wartość jest bardzo cenna. Z jednej strony terroryzuje ona wszystkich, którzy za wszelką cenę nie chcą być posądzonymi o żydofilstwo, z drugiej wszystkich, którzyby mogli mieć wątpliwości, czy słusność nie jest przypadkiem po stronie tych, którzy z endecją polemizują, oszołamia zapewnieniem, że argumenty przeciwne płyną tylko z maskującej się przewrotności żydowskiej, że zatem nawet nie trzeba się nad nimi zastanawiać. Rzecz zabawna, że narodowa demokracja nauczyła się właśnie tej metody — od żydów. Przez wiele, wiele lat publicyści żydowscy nie dopuszczali do żadnej krytyki żydostwa, ba, do poruszenia nawet kwestji żydowskiej, i na wszelkie próby w tym kierunku odpowiadali działającym na ówczesne humanitarne wrażliwości ogółu okrzykiem. „Precz z antysemityzmem! Precz z czarną sotnią!“ I to działało. Oczywiście tylko do czasu, bo dopóty dżban wodę nosi, dopóki mu się ucho, bardzo długie ucho, metody polemicznej narodowych demokratów wrzeszcze się urwie, i że liczba tych, którzy się nie dadzą terroryzować i tumanić, powoli będzie wzrastać i że w końcu weźmie górę nad bezkrytycznym owczym pędem“.

Niestety trudno mieć nadzieję, by to pożądane otrzeźwienie nastąpiło w krótkim czasie. Demagogja jest nieśmiertelna, a świat gorąco pragnie być obelgwanym.

## W sprawie samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem.

Śród szerokich sfer obywatelskich, zarówno w ramach ugrupowań politycznych, jak i w kołach bezpartyjnych, ostatnia faza przygotowania prawodawczego projektu samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego wytworzyła konieczność poinformowania odpowiedzialnych czynników polskich o nastroju, jaki projekty te, jeszcze nie zamienione w ustawę, wywołują w polskiej opinji publicznej. Wynikiem przeświadczenia o tej konieczności jest następujący komunikat, który koła te w drodze publicznej postanowiły ogłosić:

„Jesteśmy w przededniu ostatecznej decyzji rosyjskich Izb Prawodawczych w sprawie ustawy o samorządzie miast Królestwa.

Kiedy w Izbach tych decydowano oderwanie Chelmszczyzny — jeden z największych ciosów, jakie zadano naszemu krajowi w czasach porozbiorowych — łudzono opinję zagraniczną, że wzamian, jako rzekome „odszkodowanie“, otrzymamy „polski samorząd“.

Tymczasem ów „polski samorząd“ stać się ma nową klęską narodową.

Już pierwotny projekt zapowiadał samorząd mało demokratyczny, skrepowany więzami administracji, finansowo wadliwy, a ponadto przyznawał językowi polskiemu nader szczupłe prawa.

Natomiast obecny projekt Dumy, tolerujący zaledwie w ośmiu gubernjach przemówienia polskie w obradach rad miejskich i nakazujący przewodniczącemu przemawianie tylko w języku państwowym i tłumaczenie na ten język przemówień polskich, urąga szacunkowi, należnemu naszej mowie ojczystej i wyznacza jej rolę upakarzającą,



projekt zaś Rady państwa z brutalną bezwzględnością ruguje wszelkie słowo polskie.

Bo od dotychczasowej organizacji naszych miast, zależnej wyłącznie od władz rządowych, złej i bezwartościowej, jest jeszcze gorszy samorząd, który przy udziale przedstawicieli społeczeństwa będzie narzędziem znieważania oraz dalszego wynaradawiania kraju.

W tych warunkach wzywamy Koła Polskie w obu Izbach, aby nie tylko same oświadczyły się przeciwko takiemu samorządowi, lecz, żeby użyły wszelkich sił i środków do obalenia tego projektu.

## Losy emigracji polskiej.

W „Gazecie Zagłębia“ p. A. Horbaszewski zamieszcza następujący obrazek ze stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej:

„Snuje się po ulicach Detroit, a serce ścisną mi z bólu... Marzyłem tak, jak marzą inni w kraju, że cztery niemal miliony Polaków w Ameryce, to moc, to zawiązek nowej, lepszej, ludowej Polski.

Ludzilem się...

Hej! Wy, duchowi przywódcy naszej braci na obczyźnie, coście zrobili z naszego narodu? Składnik do tygla hutniczego!

Oj, prędko się przetapia „półdzika tłuszcza Wschodu“ na kulturalny nowoczesny aljaż!

Cieszymy się więc, wszak to postęp...

Na ulicy Foreszt—wrzawa, piłka lata w powietrzu, a skłębiona garstka chłopaków śmieje się—zabawa w całej pełni.

Wsluchuję się. Wszak jestem w sercu polskiej dzielnicy, wszak to dziatwa polska, — nasza. Łowię dźwięki uchem. Nie... To chyba omyłka... ani słowa po polsku. Podchodzę do grupki.

— Hej, chłopcy, wy Polacy?

— Tak, proszę pana.

— Wszyscy?

— Wszyscy!

— To czemuż nie rozmawiacie po polsku?

Jakiś chłopak wysunął się na czoło gromadki i rzekł po angielsku:

— Co nam po polskiej mowie! Chcesz pan polskiej mowy, to idź pan do karczmy, tam starzy cały dzień dziś gawędzą.

A przed domkami rozsiadło się starsze pokolenie i gwarzy o plotkach, o polityce.

A dzieci?! A któżby tam dbał o nie!

Z małego domku schodzą dwie małe dziewczynki, starsza sprowadza po schodach młodszą.

— Take care Mary!

Spojrzałem na domek, widzę godło z napisem: „John K...ski, szewc polski“.

Dziwne!

Tam, we Wrześni, otrzymywały chłostę dziecięcy zaciąg polski, a tu, w wolnym kraju, Polacy pozwalają swym dzieciom mówić w obcym języku.

Jak długa i szeroka polska dzielnica w Detroit, nigdzie nie słyszałem ani jednego słowa po polsku z ust polskiego dziecka.

A prasa polska?

Ta nietylko że nie piętnuje każenia mowy polskiej amerykanizmami, lecz sama ich używa. W dziennikach polskich spotykamy ogłoszenia: „Property i lo-

ty (działki ziemi) do sprzedania“. „Szop (sklep) do wynajęcia“ i t. d.

Na ulicy Canfield szukam polskiego lekarza. Widzę polski napis, polskie nazwisko. Dzwonię, otwiera mi mała dziewczynka. Pytam się po polsku:

— Czy tu mieszka pan K...ski?

— Dont uderstand you! (Nie rozumiem pana).

Powtarzam pytanie po angielsku.

Dziewczynka znika.

Wychodzi młody, może dwunastoletni chłopak.

— Czy tu mieszka pan K...ski?

— O, tak ale ojca wyszła z domu!

Dwa pokolenia.

Prędko topnieją Polacy w tyglu amerykańskim.

## Śmierć Pawła I-go.

W zeszycie wrześniowym czasopisma „Russkij Archiw“ rozpoczął się druk pamiętników Michała Leontjewa, oficera gwardji, w których znajdujemy kilka nowych szczegółów o zgonie Pawła I-go.

Ciekawy jest szczegół, malujący stosunek cesarza do swego syna. Ostatniego dnia swego żywota Paweł I zwracając się do następcy tronu głośno wyrzekł: „Wasza Wysokość powinna dowodzić nierogacizną, nie ludźmi“.

„Zauważyłem—pisze Leontjew—że wielki książę, zamiast tego, by uklonić się według zwyczaju cesarzowi, odwrócił się i zaciął wargę; nie wiem, czy zauważył to Paweł, ponieważ działo się w rogu dziedzińca zamkowego; lecz myśmy wszyscy to widzieli“.

Po skończonej paradzie Paweł I udał się do pałacu, następcą zaś wszedł na odwach i w oddziale oficerskim nader łaskawie rozmawiał z aresztowanym generałem Emme i jego żoną, która przyszła do męża w odwiedzinę, syna zaś ich wziął na ręce i ucałował. Scena ta—jak twierdzi Leontjew—wywarła silne wrażenie na asystujących żołnierzach.

W nocy Leontjew został rozbudzony alarmującym sygnałem i na rozkaz generała Depreradowicza udał się ze swym bataljonem ku pałacowi Michajłowskiemu. Przebudzeni niezwykle w nocy ruchem wojsk, mieszkańcy wyglądali przez okna, nie rozumiejąc, co się stało. Nie wiedział również nic o istotnych powodach bataljon Leontjewa, któremu powiedziano tylko, że w pałacu pożar. Pożaru jednak nie było i żołnierze pozostawieni w zupełnej ciemności przy pałacu poczęli się denerwować, mówiąc, iż w pałacu coś niedobrego się dzieje. Wzburzenie żołnierzy wzrosło zwłaszcza, gdy spostrzegli w oknach pałacu cienie biegających ludzi i posłyszeli wystrzał. Lecz w tej chwili ukazał się generał Depreradowicz i przemówił: „Chłopcy! Wieszcie wam nowego cesarza, naszym cesarzem jest Aleksander. Hurra!“ „Hurra“ podchwyciło całe wojsko, które już otoczyło pałac. Po jakimś czasie rozległ się okrzyk: „karetę cesarza!“ Wyszedł Aleksander. Żołnierze rzucili się ku niemu, całowali jego ręce i mundur, krzycząc: „Tyś ojcem naszym“. Aleksander odrzekł: „Tak, ja jestem waszym ojcem“. Cesarz pojechał do soboru Kazańskiego, gdzie już się zebrał, na skutek zabiegów spiskowców, członkowie senatu i synodu, którym oświadczone, że Paweł zmarł od ataku apoplektycznego.

Od rana stolica przybrała wygląd świąteczny. Ludność z trudem się wstrzymywała, by nie krzyknąć



„hurra“ przy spotkaniu z gwardją i zdejmowała przed nią czapki.

Leontjew opowiada, jak przyjął wiadomość o śmierci ojca Aleksander I. Pod pierwszym wrażeniem podobno miał odmówić wstąpienia na tron, zarzucając spiskowcom, że ci nie spełnili jego warunku pozostawienia przy życiu Pawła. Wówczas spiskowcy oświadczyli, że w takim razie wypadnie mu ujrzeć przelaną krew całej swej rodziny. To powiedzenie zmusiło go podobno do ujęcia rządów w swe ręce.

Wtargnąć do sypialni Pawła I-go, według słów Leontjewa, udało się dzięki następującej okoliczności. Paweł I-szy lubił być obecnym przy wszystkich pożarach w stolicy. Z wiadomością o pożarze adjutant pułku Preobrażeńskiego miał prawo wchodzić do cesarza bez meldowania się o każdej porze dnia i nocy. Z tego skorzystali spiskowcy, namówiwszy dyżurnego adjutanta Argamakowa, by ten obudził Pawła wiadomością o pożarze. Wśląd za nim wtargnęła cała zgraja spiskowców z hr. Pahlenem i Zubowymi na czele.

Opisując radość powszechną z powodu wstąpienia na tron Aleksandra I-go, Leontjew od siebie dodaje: „Nikt wówczas nie przypuszczał, żeby panowanie Aleksandra Prześlicznego mogło być do tego stopnia burzliwem i obfitującym w klęski z powodu krwawych wojen, ciężarów podatkowych oraz niesumienności sądów, jak tośmy następnie widzieli. Tak się mylili ludzie, uważający w swej pysze, że wybrali z własnej woli lepsze, nie chcąc znieść tego, co nie mogło być bez woli Boga! 24-letnie rządy Aleksandra I-go wykazały całą płonność rachub i nadziei ludzkich, opartych, jak wszystkim się zdawało, na zasadach bezstronnej i ścisłej prawdy...“

## KRONIKA.

### — Nowe czasopismo w Wilnie.

Otrzymałszy zeszyt nowego czasopisma, wychodzącego w Wilnie p. t. „Przegląd handlowo-przemysłowy“. Numer pierwszy przedstawia się okazałe zarówno pod względem treści jak ogłoszeń. Pismo będzie wychodziło raz na kwartał pod redakcją p. Bolesława Stadziewicza.

### — Nad Świsłoczą.

Pod tym tytułem ukazała się świeża jednodniówka, omawiająca przeważnie sprawy Mińska i Mińszczyzny. Wydawcą jest p. W. Dworzaczek.

### — O uniwersytet w Wilnie.

W dniu 7 b. m. w klubie rosyjskim w Wilnie odbyło się zebranie przedstawicieli organizacji rosyjskich Wilna, w celu naradzenia się nad sprawą otwarcia wyższego zakładu naukowego. Przewodził obradom p. Cariuk, który w przemówieniu zagajającym podniósł, iż sprawę należy traktować nie tylko ze stanowiska interesów krajowych, lecz i ogólnopństwowych.

Po referatach A. Kudierskiego i M. Michajłowa, wywiązała się dyskusja, w której między innymi pp.: Kudierski, Kowaluk, Wruciewicz, wyrazili pogląd, iż potrzebny jest uniwersytet, przytem jeden z tych panów był zwolennikiem uniwersytetu z wydziałem teologicznym. Przeciw uniwersytetowi, lecz za utworzeniem prawosławnej Akademii duchownej opowiedział się p. Cariuk. Uważa on, iż uniwersytet, jak uniwersytety całego świata, z wyjątkiem niemieckich, stanie się instytucją kosmopolityczną, podczas, gdy w naszym kraju potrzebni są działacze nacjonalistyczni.

Wobec tak rozbieżnych poglądów — czy potrzebny jest uniwersytet, czy też Akademia prawosławna — wszczęła się dyskusja na temat, czy zgromadzenie jest dość prawomocne do powzięcia jakiejś uchwały. Kilka organizacji rosyjskich podobno nie otrzymało zawiadomienia o zebraniu. Gdy roz-

prawy na temat prawomocności stały się namiętne, Cariuk zamknął je. W ten sposób nie uchwalono żadnej rezolucji.

### — Odpowiedzialność sprawozdawców z Dumy Państwowej.

Wielce ciekawą pod względem zasadniczym sprawę rozpoznawała Petersburska Izba Sądowa. Oskarżonym był p. Stefan Grostern, sprawozdawca i redaktor odpowiedzialny „Dziennika Petersburskiego“. Sprawę wytoczono mu z art. 128 Kod. karn. za wydrukowanie w sprawozdaniu z Dumy w № 898 „Dziennika“ mowy posła Rodczewa w sprawie interpelacji nagłej o demonstracjach słowianofilskich w Petersburgu.

Po 40-minutowej naradzie sąd ogłosił wyrok, którym 1) p. St. Grostern został uznany winnym przestępstwa świadomego nieposzanowania Władzy Zwierzchniczej i zgodnie z art. 128 Kod. karn. skazany na 1 rok twierdzy, przyczem na razie pozostawiony na wolnej stopie, 2) № 898 „Dziennika Petersburskiego“ postanowiono zniszczyć.

Sprawa ta wywołała duże zainteresowanie w prasie rosyjskiej, która poświęca jej obszerne komentarze.

### — Jubileusz gazety „Russkija Wiedomosti“.

D. 6 b. m. odbył się w Moskwie obchód pięćdziesiątej rocznicy istnienia gazety „Russkija Wiedomosti“. Ze względu na udział w nim najwybitniejszych sił naukowych, literackich i publicystycznych z całej Rosji było to prawdziwe święto kulturalne, jako odzwierciedlenie pracy półwiekowej inteligencji rosyjskiej. Jak przy wszelkich zebraniach o charakterze opozycyjnym, nie obeszło się bez interwencji władzy. Policja zamknęła dzienne posiedzenie w trakcie przemówień delegatów, bankiet zaś wieczorowy został przerwany przy odczytywaniu powitalnej depechy członka Rady Państwa Siemionowa Tiań-Szańskiego, znakomitego geografą.

Nawet nader umiarkowane koła rosyjskie wyraziły z tego powodu swe zdumienie i oburzenie.

### — Agitacja rusinów

Od pewnego czasu urządza organizacja ukraińska we wszystkich większych miejscowościach Galicji wschodniej wiece ludowe dla propagowania hasła podziału Galicji na polską i rusińską. Na wiecach tych bywa uchwalana rezolucja tej treści; wiec żąda niezwłocznego załatwienia sprawy reformy wyborczej i wzywa ukraiński klub sejmowy, aby nie odstępował od zasad, ustalonych w kompromisie; wiec protestuje przeciw polonizacyjnemu systemowi w szkolnictwie i żąda podziału rady szkolnej krajowej na dwie sekcje: ukraińską i polską; wiec żąda podziału kraju na dwa odrębne terytoria narodowościowe: wschodnie ukraińskie i zachodnie polskie.

## Sprostowanie.

W № 38—40, w wierszu „Wyspa“ czytać należy „w y d r z e c“ zamiast „wyrzec“ (3-ci wiersz od dołu).

W art. „O inteligencji polskiej“ str. 6-ta II-ga szpalta, 6-ty wiersz od dołu powinno być: „aż do społecznikostwa“.

## Treść numeru.

Maskarada — L. A.

Rzadka sposobność — J. Sorokowicz.

O inteligencji polskiej — Wi—ski.

Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji—J. Krz.

„Milans tactics“ — Sławomir.

Na marginesie jubileuszu — B. Zahorski.

Z książki ciszy — J. St. Wierzbicki.

W nowym teatrze — B. H.

Prasa polska.

W sprawie samorządu miejskiego w Kr. P.

Losy emigracji polskiej.

Śmierć Pawła I-go.

Kronika.

Odcinek: „Józef Korzeniowski“—T. Dąbrowski.



# BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY LEŚNIKA **Józefa Łastowskiego** (byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)  
 Wilno, просп. Ś-to Jerski, dom № 43, m. 5. — Telefon 14-69.

## Parcelacja, likwidacja

majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich  
 i Włościańskiego.

Szacowanie majątków przy ich kupnie i sprzedaży.



## Urządzenie gospodarstw leśnych

szacowanie lasów oraz wykonywanie innych robot  
 w zakres leśnictwa wchodzących.

Informacje od godz. 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

# KONCERTY

## Wileńskiej Orkiestry Symfonicznej

w SALI MIEJSKIEJ.

W pierwszych dniach października otwarcie sezonu zimowego.

**Orkiestry z 50 osób.**

Dyrygenci: **A. Wyleżyński,**  
**K. Wout.**

W kasie koncert. Wileńskiej orkiestry symfonicznej można zamawiać abonamenty i bilety na koncerty poza abonamentem. Posiadacze abonamentów korzystają z 10% ustępstwa na koncerty nadzwyczajne i koncerty poza abonamentem, o czym będą specjalne zawiadomienia. Kasa otwarta od godziny 11—2 i od 5—7. Ulica Wielka, w magazynie nut „Filharmonja“.

W październiku koncerty odbędą się w dniach: 5, 6, 11, 12, 14, 18, 22 i 30.

## Śpieszcie nabywać działki ziemi w Zwierzyńcu.

Do sprzedania pozostała szczupła ilość gruntu. ——— Obszar parceli według życzenia nabywców.

CENY NIZKIE. :—: WARUNKI DOGODNE.

Są w niewielkiej ilości parcele przy rzece. Po informacje należy zwracać się do Biura sprzedaży parceli w **Zwierzyńcu**

Wilno, „Zwierzyniec“.

Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Haase. (drugi dom od mostu Zwierzynieckiego). Telef. № 46.